

W ankiecie
„Kameny“
wypowiada się
prof. dr hab.
Włodzimierz
Sedlak

CHEŁM



Fot. Waldemar Stępień

Ludzie z pasją

Mirosław Derecki

Czasem człowiek rodzi się po raz drugi

Tadeusz Jasiński

NA uroczystości 75-lecia Teatru Ziemi Chełmskiej, które odbywały się 24 i 25 listopada tego roku, zjechało z całej Polski mnóstwo ludzi związanych kiedyś z tą sceną a wśród nich siostry Bodakowskie z Warszawy: Anna oraz Zofia — scenograf teatrów zawodowych. Zabrało, niestety, trzeciej siostry, Barbary Bodakowskiej-Jaroszek, przebywającej właśnie w sanatorium. Szkoda, bo trzecia z sióstr Bodakowskich, która jeszcze jako uczennica III klasy gimnazjum rozpoczynała karierę aktorki — amatorki, 6 stycznia 1947 r., na scenie Teatru Ziemi Chełmskiej w sztuce Gabrieli Zapolskiej „Ich czworo”, związała się z Chełmem i teatrem na zawsze. Dzisiaj prowadzi w Wojewódzkim Domu Kultury scenę dziecięcą Teatru.

Siostry Bodakowskie kontynuują tradycję rodzinną. Ich ciotką była Kazimiera Swierkowska-Pieracka. Działalność w chełmskim teatrze amatorskim rozpoczęła ona jeszcze w 1915 roku i następnie przez wiele lat była jego główną animatorką, organizując, reżyserując i grając liczne role na scenie. Z kolei Jadwiga Papużyńska — „Juniora” — jak się ją zwykle określać w Teatrze Ziemi Chełmskiej (choć wiek ma już pani Jadwiga stateczny) — jest spadkobierczynią tradycji teatralnej rodu Papużyńskich, założycieli teatru amatorskiego w Chełmie, który miał następnie, po latach działalności, przekształcić się w obecny Teatr Ziemi Chełmskiej.

*

W ciągu swego istnienia Teatr dał około 88 premier, ponad 400 przedstawień w Chełmie i okolicznych miejscowościach, wystawił sztuki ponad 40 autorów, a ludzi, którzy go tworzyli i

POZNAŁEM rodziny zastępcze, które przyhołubiły dzieci z najbliższego lub nieco dalszego pokrewieństwa, gdy los sprawił, że zostały one sierotami, półsierotami lub były zaniedbane przez nieodpowiedzialnych rodziców. Znam małżeństwa, które adoptowały maleństwa, by w ten sposób spełnić swoje potrzeby macierzyńskie i ojcowskie po płonnych oczekiwaniach na własne potom-

stwo. Najczęściej dzieci znalazły w ten sposób wreszcie spokój, miłość i szczęście, pokochały i są kochane. Państwo Teresa i Władysław Szlachetowie z Lublina posiadają troje własnych dzieci: 14-letnią Renatę, 12-letnią Basię i 9-letniego Andrzeja. Mieli więc własne i mogli mieć następne, gdyby tego zapragnęli, mieli je przed ośmiu laty, gdy po raz pierwszy wolne miejsce przy wigilijnym stole zostało zajęte przez

małych gości z Domu Dziecka. Wkrótce spostrzegli, że po każdej takiej kilkudniowej gościnie dzieci te nieraz boleśnie przeżywały swoje powroty, a równocześnie i w domu Szlachetów było jakby puściej i smutniej. Serdeczne nici przecież się jednak nawiązywały. Po czterokrot-

Dokończenie na str. 4

Stefan Aleksandrowicz

WIGILIA W DOMU RODZINNYM

wolne nakrycie niech świeci bezdomnym

rozsiedli się bracia
za świątecznym stołem
usiadł ojciec
przycupnęła matka

parafiną i stepem zanuciły świece

w dzwoneczkach przybiegły
bibulkowe panny

na garsteczce siana
senny spoczął anioł

zapachniało jedliną i mleczem

jeszcze tylko księżyc
śliwom przetrze brzuchy
i błysnie gwiazda

pasterze przybiegną niebawem

Dokończenie na str. 10

z notatnika

13 XII. Jest to decyzja mogąca mieć brzemienne skutki i dla Europy i dla świata. Sesja ministrów obrony i ministrów spraw zagranicznych NATO (bez Francji) wyraziła zgodę na produkcję i rozmieszczenie nowej atomowej broni amerykańskiej na terytorium Europy zachodniej.

Obrady w Brukseli nie przebiegały tak zupełnie gładko. Swoje zastrzeżenia w takiej czy innej formie zgłosiły: Holandia, Belgia i Dania. Holandia zarezerwowała sobie dwuletni termin na ewent. przyjęcie proponowanych jej 48 pocisków „Cruise”, Belgia natomiast, akceptując plan NATO, odrzuciła podobną decyzję o pół roku. Z kolei Dania proponowała moratorium w sprawie nowych broni do następnej ministerialnej sesji półrocznej, kładąc nacisk na szybkie wszczęcie rokowań z krajami Układu Warszawskiego na temat redukcji sił nuklearnych w Europie.

Ponieważ ani Wielka Brytania, ani RFN, ani Włochy podobnych zastrzeżeń nie miały, opinia mniejszych krajów została przez kraje większe po prostu zlekceważona.

Zostawmy jednak na boku tarcia w łonie NATO, chociaż wskazują one, że glosu opinii publicznej lekceważyć zupełnie nie można. Jest faktem, że w Europie zachodniej mają być zainstalowane dodatkowo 572 amerykańskie pociski rakietowe tzw. średniego zasięgu z głowicami nuklearnymi. Pociski te mają być nakierowane na konkretne miasta, centra przemysłowe krajów socjalistycznych, w ich liczbie i Polski. Nie zdziwi więc, że „swoją” raketę będzie posiadać i Lublin.

Ale — może ktoś powiedzieć — co się właściwie zmienia? Przecież międzykontynentalne pociski, zainstalowane w USA, też są wymierzone w określone cele na naszym terytorium. Co za różnica, jeśli rakietą wystrzeli z USA czy z RFN?

Różnica jest w czasie. Pocisk nuklearny z RFN doleci do nas w ciągu minuty, dwóch; pocisk z USA — w ciągu minut trzydziestu, czterdziestu.

Jeśli jakiś wariat, a przecież tego nigdy, mimo różnych środków bezpieczeństwa wykluczać nie należy wystrzeli raketę z USA, można ją zniszczyć w locie, naprawiając popełniony błąd: rakietę spadnie do morza. Jeśli jednak wariat znajdzie się daleko bliżej, na wszelkie korekty będzie już za późno. Lawina pociągnie za sobą lawinę i nie wiadomo czy w przyszłości znajdzie się jeszcze historyk, który wyjaśni genezę nuklearnego konfliktu. Po prostu czy będzie miał i kto i komu wyjaśnić.

Biorę pod uwagę przykład skrajny. A przecież samo gromadzenie nowych środków ludobójczych w centrum Europy wzmaga napięcie międzynarodowe, pociąga za sobą określone decyzje drugiej strony. Potencjalny napastnik musi wiedzieć, że kraje socjalistyczne nie pozwolą na naruszenie pokojowej stabilizacji. I że „w razie czego” reakcja będzie droższą. Ale — i z tego każdy z nas powinien sobie zdawać sprawę — będziemy musieli wzmocnić naszą obronę. A wzmocnienie obrony to zarówno środki pieniężne, jak i angażowanie sił w kierunku, który, co jak co, ale stopy życiowej nie podniesie.

Dzisiaj, jak rzadko kiedy, potrzebna jest mobilizacja opinii publicznej. Wszędzie. W swoim czasie głos opinii publicznej zagroził drogę bombie neutronowej. Teraz trzeba wszelkimi środkami doprowadzić do tego, aby brukselskie decyzje NATO uległy rewizji. Jest późno, ale jeszcze nie za późno!

14 XII. Przed kilkoma dniami obradowała wojewódzka konferencja sprawozdawczo-wyborcza PZPR w Katowicach, która m.in. dokonała wyboru delegatów na VIII Zjazd PZPR. Na konferencji wygłosił przemówienie I sekretarz KC, Edward Gierek, któremu w Katowicach powierzono mandat delegata na Zjazd.

„W latach siedemdziesiątych — stwierdził Edward Gierek — osiągnęliśmy bezspornie wysokie tempo rozwoju i znaczną poprawę poziomu życia społeczeństwa. [...] Niezależnie jednak od wielkich osiągnięć w ostatnich latach spiętrzyły się trudności związane z rozwojem gospodarki narodowej i z zaspokajaniem potrzeb społeczeństwa. Wyehodźmy na przeciw tym problemom w narodowym planie gospodarczym na rok przyszły oraz w zamierzeniach na następne pięciolecie. Przed wszystkim musimy naszą gospodarkę dopasować do nowych warunków zewnętrznych i wewnętrznych. Chodzi zwłaszcza o zbilansowanie potrzeb i materiałów do produkcji podzespołów i części kooperacyjnych, o szeroko rozumiane zharmonizowanie gospodarki.

Wyrównania dysproporcji nie da się załatwić z dnia na dzień. Posłuż się przykładem transportu cny energetyki, na których rozwój wydaliśmy w minionym dziesięcioleciu wiele miliardów złotych. Lecz to, co wystarczało wczoraj, dzisiaj daleko nie nadąża za znacznie bardziej rozwiniętym potencjałem całej gospodarki, za znacznie bardziej rozwiniętymi potrzebami naszego społeczeństwa...”

I sekretarz KC podkreślił, że wyczerpane zostały niektóre czynniki, przyczyniające się do wysokiego tempa rozwoju produkcji w latach siedemdziesiątych w postaci dużej podaży rąk do pracy, możliwości wzrostu nakładów na inwestycje, uzyskiwania dogodnych kredytów zagranicznych oraz zakupu tanich surowców i paliw. „Nie mamy za dużo rezerw. Ale mamy za to znaczne rezerwy kryjące się w lepszym wykorzystaniu stworzonego wielkiego potencjału produkcyjnego — słowem w efektywności gospodarowania”.

Efektywność — to słowo powtarza się wielokrotnie. Chodzi o lepsze wykorzystanie w sferze produkcji czasu pracy, obniżenie materiałochłonności i energochłonności, racjonalną eksploatację parku maszynowego, o lepsze dostosowanie asortymentu produkcji do potrzeb, podniesienie jakości i trwałości wyrobów, słowem o to, by kosztem możliwie najmniejszych nakładów uzyskać możliwie najlepsze efekty.

„Nikt — podkreślił Edward Gierek — nie może czuć się zwolniony ze starań o wzrost efektywności. Kto wiele mówi o efektywności gospodarowania, a pracuje po staremu, kto pograża się w biernym oczekiwaniu na obfitość energii, surowców, rąk do pracy, ten nie rozumie istoty sprawy”.

Poruszając problemy kadrowe, mówca przypomniał, że przynależność do partii to nie przywilej, lecz szczególna odpowiedzialność za socjalistyczną Polskę, za jej sprawy, za swoją dla niej pracę. „To zobowiązanie do ideowości i dyscypliny, do przodowania w pracy, do życia zgodnego z normami naszej moralności, do skromności i samokrytycyzmu, do zwalczania wszystkiego, co złe i fałszywe. [...] O awansie człowieka decydować powinny wyłącznie kwalifikacje i predyspozycje, jego rzeczywiste wyniki pracy. Błędne decyzje w sprawach kadrowych kosztują nasze państwo bardzo wiele. Placi za nie społeczeństwo, lecz placą często i ludzie niesłusznie awansowani lub przeniesieni na funkcje, której z przyczyn obiektywnych nie mogą sprostać”.

Na wojewódzkiej konferencji PZPR w Krakowie przemawiał Henryk Jabłoński, a w Warszawie — Piotr Jaroszewicz. Ten ostatni podał charakterystyczne liczby: w ciągu trzech lat 1976—1978 wskutek niekorzystnych dla nas ruchów cen na światowych rynkach surowcowych i żywnościowych straciliśmy z krajami kapitalistycznymi per saldo w stosunku do cen z 1971 r. blisko trzy miliardy dolarów. Rosną również ceny surowców na rynkach RWPG, wzrost ich jest jednak mniej dotkliwy, bowiem ceny kształtowane są na podstawie średnich cen światowych z ostatnich kilku lat. Nie mniej „na rynkach krajów RWPG, głównie w Związku Radzieckim, występuje nowy czynnik, a mianowicie wyczerpywanie się w europejskiej części ZSRR łatwo dostępnych źródeł surowców. Powoduje to w sposób nieunikniony wzrost kapitałochłonności poszukiwań i eksploatacji nowych zasobów surowcowych, a także kosztów transportu surowców z bardziej odległych terenów. Rzutuje to również na wysokość naszego udziału w inwestycjach surowcowych na terenie ZSRR”.

15 XII. Tygodnik studencki „itd”, niezwykle pomysłowo redagowany, zapuszcza stale sondy: tym razem tematem jest krytyka. Oto co na ten temat mówi Zbigniew Zapasiewicz: „Moim zdaniem jest wiele obszarów niedostępnych dla krytyki tylko wskutek oportunistów, zakorzenionego przyzwyczajenia się do lakierowania rzeczywistości. Są wartości praktycznie nienaruszalne, podczas kiedy nie by się nie stało, gdyby je naruszyć. To dotyczy zarówno osób, jak i zjawisk i nie chodzi tu od razu o rzeczy wielkie. Ważne, żebyśmy umieli na co dzień tak po prostu nawzajem się oceniać. A jest to, niestety, bardzo niepopularne. Być może dlatego, że zbyt wiele niefachowych, niekompetentnych osób pracuje na różnych stanowiskach”.

W poprzednim numerze „itd” sonda dotyczyła odwagi cywilnej, a więc tematu nieco pokrewnego. Zbigniew Boniek wyraził tutaj taką opinię: „Mieć odwagę cywilną to znaczy nie myśleć tylko o sobie, najbliższej rodzinie i forsie. Bo odwagę musi liczyć się z przykrymi konsekwencjami wygłaszania sądów i poglądów niepopularnych, z różnych zresztą powodów. Człowiek posiadający odwagę cywilną nie jest wygodny dla danej grupy, zbiorowości. Grupa potrafi się bronić. Najprostszym sposobem powiedzieć o odwagą: to rozrabiacz, że niedyscyplinowany. W miarę potrzeby można użyć argumentów bardziej pryncypialnych”.

Prof. dr Zdzisław Cackowski, z którym przedstawiciel „itd”, Zdzisław Pietrasik, przeprowadził dłuższą rozmowę, tak zdefiniował odwagę cywilną: „Odwaga cywilna to raczej odwaga wobec swoich, a nie wobec wroga. To bardzo trudna odwaga, środki działania, poprzez które ta odwaga się manifestuje, są bardziej cząstkowe, tzn. nie atakują samego istnienia przeciwnika. Zagrożona wartość nie jest totalna, lecz cząstkowa. Cząstkową też jest jej ryzyko”.

„Odwaga wobec swoich, a nie wobec wroga” — bardzo mi się to stwierdzenie podoba. Owi swoi to konkretne osoby, z którymi niekiedy łączą dość ożywione kontakty towarzyskie. Im mniejsze miasto, tym lepsza znajomość ludzi — z różnej strony. Ale i tym większe ryzyko narażenia się kogoś, kto ma tzw. dobre układy, albo wydaje mu się, że je ma. Nawet cień krytyki powoduje pytania w ro-

dzaju: „Komu to służy?”, „Komu to jest potrzebne”, lub — jeszcze mocniejsze — „Jakim prawem?”. Często krytykowanemu wydaje się, że za autorem notatki stoi ktoś ważny. Nie skrytykował go Iksiński, ale Gazeta, ale Pismo. Jeśli tak, to znaczy, że coś — tak myśli sobie skrytykowany — zaczyna wokół mnie śmierzdząć, trzeba się więc bronić.

Doc. dr hab. Józef Lipiec („itd” z datą 16 grudnia) wyraża taki pogląd: „W społeczeństwie socjalistycznym racje personalne są, czy raczej powinny być, sprawą drugorzędą. Socjalizm jest dla całego społeczeństwa i jego pomyślność jest kryterium postępu. Stąd też krytykujący powinien mieć na względzie dobro instytucji, a nie samopoczucie jej dyrektora, powiedzmy. Z drugiej strony — jeśli ktoś sprawuje urząd, musi się liczyć z tym, że jego działalność będzie poddawana ocenie. Ale posiadanie stanowiska nie jest dożywotnie. Co więcej, zarówno przy wprowadzaniu, jak i odwoływaniu z różnych stanowisk bywa zbyt wiele subiektywizmu i woluntaryzmu. To powoduje, że często krytykę przyjmuje się jednoznacznie jako zgrabne wyciągnięcie foteli spod bliźnich. Kto czuje się w swej roli niepewnie, ten reaguje na krytykę histerycznie, wyładowuje swoje kompleksy. Fromm twierdzi, że kompleks wyższości jest nierozdzielnie związany z kompleksem niższości. Ten, kto dławii krytykę, sam nie jest zdolny do krytykowania”.

Ostatnie zdanie wydaje mi się dyskusyjne, chociaż zależy kogo ów dławiacz krytykę będzie krytykować. Jeśli w rozważaniach nie uwzględni się tych, którzy w jakiś sposób mu podlegają, wówczas zgoda!

Piszę o tych sprawach, bo wydają mi się one bardzo istotne. I z góry się zastrzegam, że nie mam kogoś konkretnego na myśli. W długoletniej pracy dziennikarskiej znalazłbym dziesiątki osób, do których to, o czym wyżej, pasowałoby jak ulał.

16 XII. Zbliża się koniec roku. Czuję się w obowiązku przeprosić kilka osób — osoby zainteresowane wiedzą, o kogo chodzi — za to, że zawracalem im wiosną głowę w sprawie pana Aleksandra Rozenfelda. Pan Rozenfeld otrzymał bezpłatną koncesję na prowadzenie handlu starzyzną. Miał w ten sposób zbierać materiał do reportażu, w którym opisałby, jak ów handel wygląda, jakie są reakcje ludzi itd., itp. Pan Rozenfeld pomógł swym znajomym w opróżnieniu szaf i piwnic, ale obiecane reportażu nie otrzymaliśmy do dzisiaj. Interes zresztą zwinął po sześciu tygodniach, krąg znajomych nie był więc taki wielki. Literatura faktu została zubożona o ważkie doświadczenie, może jeszcze nie wszystko stracone — pozostają przecież wielkie obszary poezji!

Marek A. Jaworski

Kazimierz Andrzej Jaworski

POCHWAŁA PRACY DRUKARSKIEJ

Poeto, czas pochwalić geniusz Gutenberga: on, cień, twej pracy wierny jest towarzysz, i kiedy słowa ciężko wazysz, i kiedy wszystko w całość zebrał.

Poeto, czas pochwalić bratni trud zecera: on twojej pracy zawsze towarzyszy. Gdy ty skupiony w ciszy kreślisz i lepszych słów dobierasz, on da ci milion ust, on da ci milion oczu, on da ci milion uszu.

On twe marzenia gra na linotypie albo wyciąga z kaszt nie czcionki, lecz tysiące gwiazd, co na firmament matryc się wysypią, by później słów twych konstelacje szły błyskawicznie przez rotację.

Pochwal więc pracę odlewacza, pochwal więc pracę maszynisty — cóż twoje wiersze bez nich znaczą? — bez adresatów listy.

Ci bezimienni towarzysze w świat ślą twe sny i anatemy, to oni wiersze twoje piszą i bez nich byłbyś niemy.

(„Wiersze wybrane” — 1955)

TOWARZYSZOM
SZTUKI DRUKARSKIEJ
WSPÓŁTWÓRCOM „KAMENY”
SKŁADAMY
SERDECZNE GRATULACJE
Z OKAZJI 35-LECIA
LUBELSKICH
ZAKŁADÓW GRAFICZNYCH
Kolegium redakcyjne
i zespół „Kameny”



Tym razem stronę
numerował Andrzej
Kot

DELEGAT

WITOLDOWI Smętnemu los podarował żywot zwykły — jak większości Polaków współczesnych. Co oznacza, że Witold Smętny, urodzony w 1932 roku w lubelskiej dzielnicy Bronowice, nie walczył podczas żadnej wojny, jeśli pominąć „zimną”, narzuconą nam przez imperialistów. Ponadto Witold Smętny — gdyby uwzględnić intensywność doznań — nie prowadzi się jak Sobiesław Zasada czy Krzysztof Baranowski; ani tak wytwornie jak Krzysztof Zanussi.

Zyje w mieszkaniu na LSM z epoki „oszczędnościówki” — kuchnia ładna i widna, dwa pokoje z wnetkami, w sumie 46 metrów kwadratowych; klatka schodowa bardzo przestronna. Ten lokatorski standard zajmują ostatnio trzy generacje Smętnych. On z żoną Marianną; ich synowie: 24-letni kawaler, 23-letni żonaty od marca; synowa oraz kilkumiesięczna wnuczka.

A ponadto meble polskie z wystawką kryształów, dywan pulchny (w głównym pokoju); pralka „Francia” (nie do zdarcia), inne podstawowe urządzenia gospodarskie oraz dwa telewizory czarno-białe. Młode małżeństwo zajmuje mniejszy pokój, który urządza po swojemu, więc i telewizor odrębny tam jest.

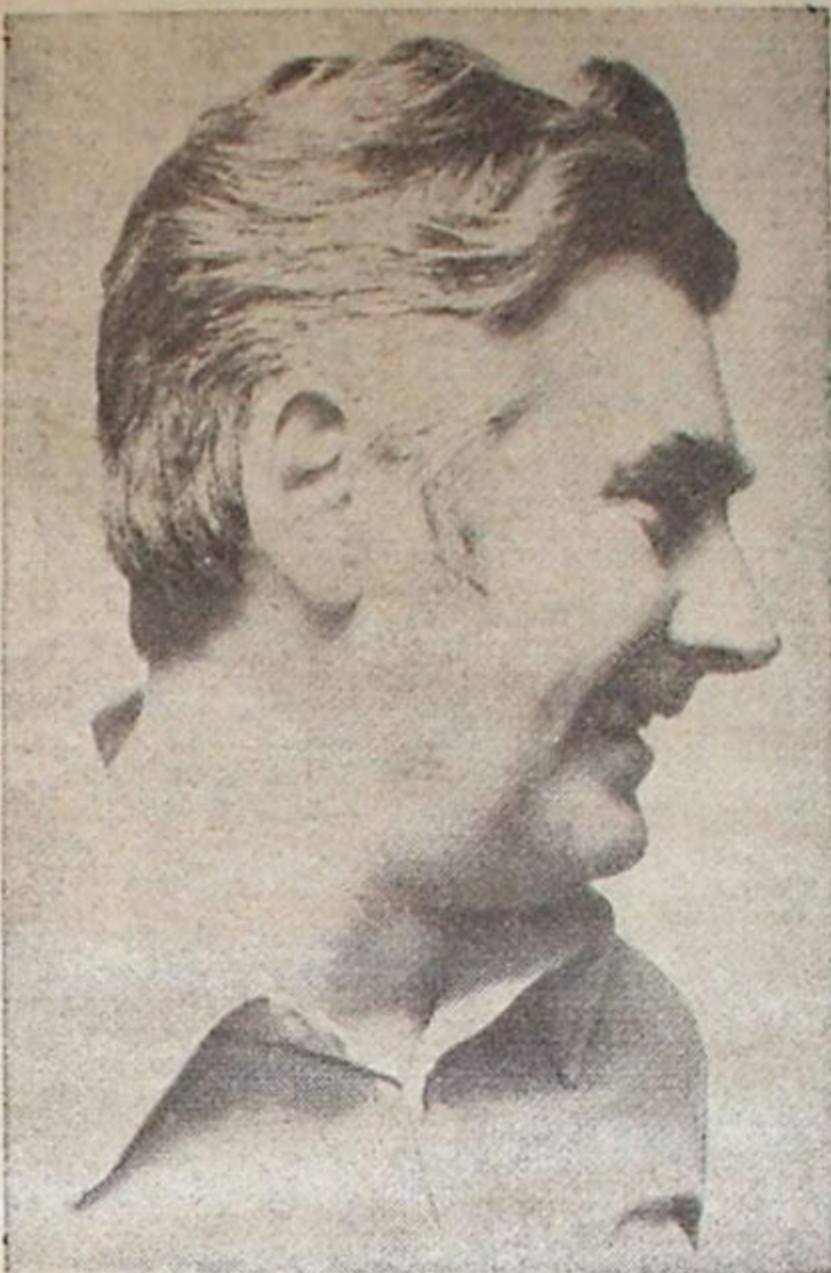
Starszy syn Witolda, choć technik-chemik, gra etatowo na gitarze w zespole artystycznym LSS, i dom pełen magnetofonów, taśm, wzmacniaczy. Młodszy pracuje w EC-Wrotków. Obu synom ojciec latami odkładał po dwieście złotych na oszczędnościowe książeczki mieszkaniowe i oni, wcześniej czy później, otrzymają mieszkania spółdzielcze.

— I tak się człowiek, choroba, dorabia tyle lat. Całe życie się dorabia — powiada Witold Smętny, otwierając paczkę „Carmenów”.

Niekrótka była droga ze starej dzielnicy Bronowice na LSM — jeśli mi wolno posłużyć się metaforą. Droga z 24 metrów kwadratowych (pokój z kuchnią, bez sanitariatów) do 46 metrów. Jako żonaty chłopak mieszkał Witold z rodzicami-robotnikami, dwoma siostrami i szwagrem — tam, gdzie się urodził, w bronowickiej ciasnocie 24-metrowej. Później był dłuższy etap (już bez rodziców, sióstr i szwagra) dwupokojowy z używalnością kuchni — w starym budownictwie przy ulicy Cichej. A dopiero od 1968 roku — LSM. „I tak się człowiek, choroba...”

Witold Smętny zdobył kwalifikacje tokarza w zasadniczej szkole metalowej i od przeszedł dwudziestu lat pracuje na tym samym wydziale w WSK, bo nie lubi zmian, choć popiera ulepszenia.

Zaczął od roboty tokarza rewolwerowego, po pół roku awansował na ustawiacza tokarek rewolwerowych i zarabiał wtedy 1500 złotych. Taki ustawiacz — jak sama nazwa wskazuje — ustawia



Witold Smętny

Fot. Waldemar Stępień

maszynę do wykonania określonej śruby na przykład, czy innego detalu, toczy pierwszą śrubę, sprawdza wymiary, podpisuje, co potrzeba, i reszta należy do zwykłego tokarza.

W połowie lat sześćdziesiątych Witold Smętny awansował na mistrza, a od pewnego czasu wykonuje obowiązki starszego mistrza, któremu podlega 85 ludzi na dwu zmianach (do pomocy na sześciu ustawiaczy i trzech mistrzów). Zarabia 6500 miesięcznie.

Produkcja lotnicza jest bardzo trudna i precyzyjna, stawia wysokie wymagania i trzeba ciągle czuwać, aby proces technologiczny przebiegał właściwie. Oni robią dosyć krótkie serie, różnorod-

ność detali wielką i nie ma mowy, żeby się robotnik znużył ciągłym klepaniem jednej śrubki. Na przykład ostatnio wydział Witolda Smętnego produkuje pewne części kooperacyjne do pasażerskiego kolosa — „Ila — osiemdziesiątego szóstego”. Nowość przecie.

Witold Smętny należy do partii od lipca 1955 roku (jego matka długie lata była sekretarzem POP w zakładach eternitu). Pełnił funkcje w oddziałowej organizacji partyjnej oraz działał w egzekutywie komitetu zakładowego, którego komisji organizacyjnej jest ostatnio członkiem. Wybrany został delegatem na VIII Zjazd PZPR.

— Pracowałem, działałem, w 1974 roku skończyłem zaoczne technikum mechaniczne. Człowiek się pnie, ale i lasuje, chciałby częściej w domu pobyc, odpocząć. Ambicja nie porwała. Człowiek musi mieć przekonanie, że coś chciał zrobić i zrobił może, robi ciągle...

Witolda Smętnego pytam, co ma do gadania robotnik w dużym zakładzie? Wiele ma. Ludzie się nie krępują na zebraniach oddziałowych, na KSR, mówią otwarcie w ogóle i w szczególe. W grupie dają się przekonać, że rolnictwo, że Arabowie, że ropa, że świat jest systemem naczyń połączonych, że i tak dalej. W pojedynkę — różnie bywa. U Smętnego na rewolwerówkach pracuje osiemdziesiąt procent kobiet i gdy taka skończy robotę, weźmie tę siałkę i pójdzie do sklepu, to... Ale z ludźmi trzeba ciągle rozmawiać, a przede wszystkim porządnie organizować im pracę. To jest bardzo ważne.

Witolda Smętnego pytam więc, o czym by mówił z trybuny Zjazdu, gdyby miał po temu okazję? Z trybuny mówi się czasem ogólnie, ale on by mówił konkretnie, zresztą nie tylko na przykładzie własnej fabryki, ale wykorzystując swe szersze doświadczenia z kontaktów z innymi towarzyszami.

Ze według planowych założeń wydajność rośnie, lecz są rezerwy w organizacji, często jeszcze robotnik, zanim stanie do pracy, chodzi po narzędzia, po materiały, czas marnieje niepotrzebnie. Ze sporo narzędzi już trzeba by złomować, bo nienowoczesne. Ze zamawia się drogie obrabiarce numeryczne, które stoją po dwa lata bezczynnie, gdyż nikt uprzednio nie pomyślał o przygotowaniu programu dla nich. Ze co jak co, ale trudności materiałowe należy rozładować w pierwszym rzędzie. O tym mógłby mówić.

A co jest ważne w życiu? Życie samo ważne jako takie. I praca, i dom, i rodzina. I jeszcze ważna jest, może najważniejsza, prawidłowa ocena pracy człowieka. Aby ta praca była nie tylko należycie zapłacona, ale żeby ją umiał ktoś dostrzec i podkreślić.

M. P.

W KRAJOBRAZIE SŁÓW

Może tylko marzenie

Zygmunt Mikulski

KIEDYS Anna Tatariewicz napisała, że po śmierci Konrada Bielskiego, Wacława Gralewskiego i Kazimierza Andrzejewskiego nie wyobraża sobie życia literackiego w Lublinie. Czyżby chciała dokuczyć pozostałym? Przecież nie. Miała na myśli charakterystyczność wymienionych, jakąś dziwną właściwość ich wpływania na obszar spraw nie tylko prywatnie towarzyskich, ale i społecznych. Nie rozumieją tego młodzi, ponieważ z takim zjawiskiem sami się nie spotykają, a ustnymi ani piśmieniymi przekazami tego wyrazić się nie da.

Cóż by jednak stąd wynikał za wniosek. Ze należy podtrzymywać ciągłość pokoleń? Wielkie nieba. Zawartość umysłowa tego jest tak olśniewająca, że wstyd powtarzać. Zresztą i ta ciągłość nie jest żadną wartością bezwzględną. Na przykład ja. Często wожuję o pamięć wymienionych trzech, ale co mam do powiedzenia już o Mieczysławie Biernackim, Aleksandrze Krotkim, Zygmuncie Michałowskim? Trzeba poznać timbre głosu, nawyki przy zajmowaniu miejsca na krześle, sposób wchodzenia na schody, żeby utrzymać ciągłość pokoleń.

Paradoks? Jak najdalej mi do niego. Ciągłość pokoleń to przecież coś wię-

cej niż ciągłość zagadnień, idei, postaw moralnych i intelektualnych. Tę drugą mamy od czasów Homera. Chcę powiedzieć, że pisarz oddziałuje nie tylko swoim piórem, ale i osobą. Jeśli chodzi np. o Przybyszewskiego, już Boy'owi — przecież współczesnemu autorowi „Dzieci szatana” — trudno było oddzielić herolda nowej idei artystycznej od animatora cygańskiej legendy młodopolskiej. Mimo że tak dokładnie, tak na zimno, tak bez uprzedzeń — jak zawsze Boy — chciał te dwa pasma w jednym Przybyszewskim oddzielić. A Franz Fischer? Jak można przejść do historii literatury nie pozostawiając po sobie ani jednego napisanego słowa? Ale Fischer zostawił nie tylko trochę (nie takich znów świetnych) dowcipów, ale mnóstwo opróżnionych talerzy w najbardziej znanych i uczęszczanych restauracjach, mnóstwo wysiedzianych przez siebie krzeseł w wielu (nie tylko literackich) salonach, a przede wszystkim pamięć postaci wydętej jak tryfon, o tuszy może większej niż Konrada Bielskiego. Więc to się liczy, liczy się „twarz” — nie tylko w znaczeniu części ciała noszonej nad krawatem, czy kołnierzem à la Stowacki.

Te myśli przychodziły mi do głowy w Muzeum Czechowicza na wieczorach

wspomnień o Józefie Nikodemie Kłossowskim. I równocześnie czułem coś w rodzaju dezorientacji, a nawet zażenowania. Tylko trudno mi określić z jakiego powodu. Ze człowiek jest śmiertelny? Ze dwadzieścia lat (od daty śmierci) to jednak kawał czasu? Ze przez to wspomnianych musiałoby być niewiele, a i treść pamięci uległa znacznemu zatarciu? Mając pretensję o to, miałbym pretensję do rzeczywistości, pocieszam się tylko, że Voltaire protestował przeciw trzęsieniu ziemi w Lizbonie.

A może opadają mnie te wątpliwości natury egzystencjalnej dlatego, że życie literackie w Lublinie toczy się nie najszybszym nurtem? W wyrażeniu „życie literackie” mam na myśli przede wszystkim rzeczownik „życie”, więc to wszystko co wpływa na ruch, na gest, na aktywność, co przeciwdziała nastrojowi pustki i zapomnienia. Myślę, że ciekawą retrospektywą będzie najbliższy wieczór „U Czechowicza” (piszę te słowa jeszcze przed nim), który da przegląd najistotniejszych z ostatnich 35 lat ewenementów związanych z zapisywaniem i zadrukowywaniem papieru słowami zamierzonymi pod kątem wartości estetycznych.

W każdym razie środowisko takie jak lubelskie powinno jak najczęściej urządzać „dziady” nie tylko swoich zmarłych, ale również swoich wierszy. Przecież te słowa kiedyś żyły, nawet z lekkim (a może tylko udawanym) zażenowaniem pokazywało się je kolegom w kawiarniach, przy redagowaniu numerów najczęściej społecznie prowadzonych pism. Czy da się specyfikę czasu przywołać w całości? Ale niechby podobne imprezy spełniły rolę choćby starych fotografii, przy których oglądano oko pokrywa się mgiełką melancholii, a myśl ożyła się filmem wydarzeń rozegranych kiedyś w scenarii, która przecież w całości nie znikła. W architekturze nawet awangar-

dowi konstruktorzy zaczynają sceptycznie nieć na punkcie budownictwa jednomo- delowego. Czy czegoś takiego nie należałoby wziąć pod uwagę na gruncie literatury? Również fronton zjawisk obyczajowych życia literackiego przedstawia pejzaż pusty. Żaden gzymsik, żaden pinakiel, żaden kartusz. Nie namawiam do nasiania towarzyskich bibelotów, ale czegoś tu za mało. Za ni- jako — mimo obecności pewnych indywidualizmów.

Dlaczego mówię, że właśnie Lublin jest predestynowany do założenia takiego parku dawnych form towarzyskich? Ze względu na swój prowincjonalizm. Przybysz z obcego, a większego miasta zwykły się zachwycać prowincjonalnością Lublina, nie omieszkałszy natychmiast dodać: „w najlepszym tego słowa znaczeniu”. Nie określe ile tu rzeczywistej szczeroci, a ile zdawkowej kurtuazji, ale sam dla siebie wiem, że słowo „prowincja” samo przez się nie jest jeszcze żadną dyskwalifikacją. Axel Munthe mieszkał na skale, Szolochow w chutorze, Leśmian w Hrubieszowie. Ten styl bycia zreaktywowany w Lublinie stałby się nawet rysem jego indywidualności, nawet akcentem polemicznym wobec zglajchszaltowanych większych i największych aglomeracji literackich.

Ze co proszę? Ze kalendarz nie ten? Przepraszam, nie wolno pomarzyć?



Otwarte wrota

Kazimierz Mącik

W MOMENCIE wyzwolenia Lubelszczyzny miałem 14 lat, pierwsze kilka lat powojennych upłynęło mi na nauce w szkole średniej i na wyższej uczelni. Nie miałem już rodziców, a mnie i trzy siostry wychowali stryjowie w Turce. Sami są nauczycielami, więc i nas w tym kierunku przygotowywali. Zawdzięczamy im wiele, wszystko. Mnie jednak ciągnęło do działalności w dziedzinie kulturalnej. Po krótkiej pracy bibliotekarskiej na Bronowicach zostałem instruktorem księgarstwa i dystrybucji książki na wsi, w WZGS „Samopomoc Chłopska”, a po przejściu w 1955 roku tego działu przez PUPIK „Ruch”, tam nadal robiłem to samo. Nie umiem dziś powiedzieć, jaki okres z ćwierćwiecza mojej pracy w tym trzydziestopięcioletnim pozostał mi w pamięci najbardziej. Chyba jednak tamten, u początków mojego praktykowania w kulturze. Książki szły wtedy masowo na wieś, w dużych i tanich wydaniach przede wszystkim klasyka polska i obca. Pragnęliśmy je rozpowszechnić, w myśl idei nowego państwa ludowego, jak najszerzej. Tymczasem rolnicy nie kupowali ich w takich ilościach, w jakich pragnęliśmy i byliśmy sprzedawać gotowi. Martwiło to nas, w naszej pracy było wtedy coś z apostołstwa, a tymczasem środowisko cho-



Fot. Waldemar Stępień

ciaż spragnione, nie było jeszcze gotowe przyjąć tych wartości. Zapelniały się więc biblioteki gromadzkie i szkolne, wiele z ówczesnych zakupów służy czytelnikom do dzisiaj. Od połowy 1956 roku jestem bibliotekarzem, od 1960 kierowałem Powiatową Biblioteką Publiczną, a od kilku lat jestem dyrektorem Oddziału Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. H. Łopacińskiego, obejmującej wszystko wokół Lublina, aż pod Krasnystaw. Cieszy mnie, gdy ta książka, gdy literatura jest czytana, gdy nasz bibliotekarski trud nie idzie na marne. Stało się już sloganem, że o wszystkim decydują

ludzie, ale jest prawdą, że tam, gdzie nasi bibliotekarze są rzeczywiście zaangażowani w swoją pracę upowszechniającą, tam czytelnictwo jest duże. Wyniki te widać najbardziej w Piaskach, Niemcach, w Łęcznej i Puchaczowie, oraz w filiach w Krasieninie i Łuszczowie. Okazuje się ponadto, że rozwojowi czytelnictwa sprzyja dobra, nie formalna tylko, współpraca gminnych bibliotek, ich filii i punktów bibliotecznych ze szkołami, klubami „Ruchu” i „Rolnika” oraz organizacjami młodzieżowymi. Oczywiście, że bez opieki ze strony Gminnych Ośrodków Propagandy Partyjnej, samych Komitetów Gminnych PZPR i ZSL oraz naczelników, także naszym bibliotekarzom ciężko będzie pracować. Dlatego dążymy do współdziałania tych wszystkich czynników w gminach i miastach, a nadto do stopniowego mnożenia filii bibliotecznych — czemu na przeszkodzie stoi brak lokali, etatów, bądź ryczałtów oraz... księgozbiorów, bo one tylko mogą wydatnie podnieść czytelnictwo. Jest tak wiele rezerw, tyle wsi nie rozczytanych, że niedotarcie do nich z książką byłoby niewybaczalnym błędem. Dlatego też staramy się tymczasem aktywizować punkty biblioteczne, a tam, gdzie powstają warunki lokalowe i materialne, jednak tworzyć nasze filie.

W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych nabywców książek na wsi było niewiele. Teraz, gdy minęło 35 lat od chwili odzyskania niepodległości, dokonały się znaczne zmiany w tej dziedzinie. Po prostu zmieniła się mentalność chłopska, przygotowanie do odbioru dóbr kultury mocno się podniosło, prawie w każdej rodzinie jest ktoś z wykształceniem ponadpodstawowym, średnim, a nawet wyższym. Obecnie martwimy się tym, że rolnicy wypóżycają za mało literatury fachowej. Moje zmartwienie jednak łagodnieje, kiedy widzę, że wielu gospodarzy, nie tylko młodych, kupuje książki rolnicze na własność. Chce je posiadać pod ręką, w domowej bibliotece, ma w częstym użyciu.

Nie tylko fachowa literatura jest częściej czytana, także społeczno-polityczna. Zmieniła ona bowiem swój charakter, jest bardziej komunikatywna, pisana lepszym językiem. Nadeszła pora, że w księgarniach wiejskich i małomiasteczkowych zauważa się popyt także na literaturę piękną, ale — chociaż dziś książek wydaje się więcej — podaż jest o wiele za mała. To ogranicza także nasze zakupy. Większość urzędów gminnych byłego powiatu lubelskiego przeznacza, według swych możliwości, spore kwoty na powiększenie księgozbiorów na ich terenie, szczególnie w Niemcach, Piaskach i Jastkowie, a zupełnie nie możemy przekonać do tej sprawy naczelników gmin byłego powiatu krasnostawskiego. Nie same więc radości są w tej mojej, w tej naszej pracy. Ale rzadko dziś ktoś z kierowników ma odwagę publicznie powiedzieć, że nie warto popierać kultury na terenie jego władzy. A to już niemało, można rozmawiać. Odczuwam tylko wtedy niecierpliwość, gdy nawet to, co oczywiste, trzeba osiągać ze sporym trudem. Czuję się jednak w swej roli. Jestem pewny, że przed ćwierć wiekiem wybrałem słusznie. Cieszy mnie, że chociaż bezpośrednio z książką nie pracuję, to jednak swoją pracą organizatorską dane mi jest ją przybliżyć do czytelników, którzy przedtem dostępu do niej wcale nie mieli, a może nawet nie przeczuwali, że literaturę będą potrzebować. Wierzę w to, co robię i mówię w związku z upowszechnianiem czytelnictwa, czuję się w swojej roli. Może dostrzegł to inni, bo otrzymałem w tym czasie dwa odznaczenia państwowe, tytuł Zasłużonego Działacza Kultury, Zasłużonego Pracownika Lubelszczyzny, kilka odznak organizacji społecznych i dyplomów, również i takich, które honorowały mój udział w tym trzydziestopięcioletnim wyrażeniu.

Okno sztuki

Ziemski

DAWNO temu Jan Ziemski chętnie rozmawiał na tematy wywołane przez fizykę współczesną, astronomię i pokrewne nauki, co było zresztą zajęciem dość powszechnym w drugiej połowie lat pięćdziesiątych, kiedy to w czołowych środowiskach artystycznych kraju próbowano uformować sztukę na wzór operacji intelektualnej, teoriopoznawczej, spekulatywnej. Należący wówczas do grupy „Zamek”, Ziemski malował obrazy, które były swoistą ilustracją zainteresowań pozartyściecznych autora, o czym co nieco mówią ich tytuły: „Grawitacje”, „Meteor”, „Zodiak”, „Mgławica”. Przypominając znane z fotografii naukowej struktury mikro- i makrokosmosu, dawały się umieścić w kręgu nowoczesnego pejzażu malarskiego, inspirowanego przez światy postrzegane przy pomocy przyrządów optyczno-elektrycznych. Niektóre z tych prac manifestowały jednak daleko posuniętą autonomię, obywateli się bez wizualnych czy werbalnych systemów odniesienia, istniały po prostu jako układy grubo nawarstwionej farby. Krytyka przypisała je do sztuki strukturalnej, dostrzegając zarazem wkład autora w rozwój tej tendencji. Znamienne przy tym, że nawet w tego rodzaju obrazach widać było iad plastyczny, autorską dbałość o tworzenie rzeczy spójnych pod względem formalnym, a więc takich, jakie wypełniają nieomal całą tradycję malarstwa europejskiego. Nie wszyscy spostrzegli tę skłonność Ziemskiego do organizowania obrazu w celu uzyskania ekspresji. Krytyka szukała wówczas nowości, egzaltując się zjawiskami, które w jej przekonaniu łamały dotychczasowy paradygmat sztuki.



Jan Ziemski

Fot. Andrzej Polakowski

Z okazji III Wystawy Sztuki Nowoczesnej w Warszawie (1959) Bożena Kowalska pisała na łamach „Sztandaru Młodych”: „Ogromną i niespożytą energię w poszukiwaniu supernowoczesnych odkryć plastycznych wykazuje grono młodych artystów lubelskich: Jan Ziemski, Tytus Dzieduszycki”.

Tylko Hanna Ptaszkowska na łamach „Struktur” (dod. „Kamery”) bez aprobaty zwróciła uwagę na ciągłą obecność wartości plastycznych, estetycznych w obrazach większości tych malarzy (m. in. Ziemskiego), których uznała za awangardę: „Zmieniają się potrzeby estetyczne, zmieniają się koncepcje koloru, formy i przestrzeni, ale nowy przedmiot sztuki ciągle musi zagrać plastycznie, ciągle musi być dobrym obrazem”.

Pierwszą wystawę indywidualną miał Ziemski w tymże 1959 roku w lubelskim BWA. Kompozycje tam pokazane przypominały co prawda Jerzemu Ludwińskiemu „raczej jakieś prehistoryczne pomniki, niż to wszystko, co przywykliśmy nazywać obrazami”, ale z prawdziwą satysfakcją krytyk odnotował fakt inny: że „obraz przestał stwarzać iluzję świata, który nas otacza, stał się przedmiotem konkretnym, istniejącym tak samo niezależnie, jak inne przedmioty i tworzy naturę”.

Już przy końcu lat pięćdziesiątych Ziemski był artystą znanym i cenionym w kraju. Pozytywnie ugruntował w połowie następnej dekady, kiedy nazwisko jego zaczęło

kojarzyć z kompozycjami złożonymi z parabolicznych listewek, opinających prostokątne płaszczyzny, na których namalowane były kolorowe (nieraz tylko czarne i białe) ich repliki. Przeznaczone do oglądania z różnych pozycji poruszającego się przed nimi widza, te dzieła konstruktora i optyka ujawniały nieoczekiwane ogromne doprawdy bogactwo wartości wizualnych, czysto zmysłowych, może nawet takich, jakie oferuje malarstwo dawne, klasyczne pod względem techniki i reguł organizacji plastycznej. Pokazane na wystawie indywidualnej Ziemskiego w Lublinie (1966) wzbudziły zainteresowanie i uznanie ludzi nawet mało obytych ze sztuką, którzy takie m. in. uwagi wpisali do księgi pamiątkowej: „Oczopląsu można dostać, panie Ziemski, ale dobre!”

„Wystawa na poziomie wielkości światłowodów, zaskakuje nowoczesną formą. Wszystko zdaje się wibrować, drgać. To jest wspaniała wystawa”.

Naiwne, fakt. Trudno jednak sądzić o naiwności Juliana Przybosi, który zobaczywszy dzieło Ziemskiego oparte na podobnej zasadzie, tyle że strukturalnie rozbudowane, zauważył: „malarz lubelski Jan Ziemski stworzył obraz do oglądania od wewnątrz. Obraz otoczony jest dwoma chroniącymi go płaszczyznami, jest w środku. To początek. Można dalej w tym kierunku myśleć i tworzyć rzeczy nowe”.

Dziś Ziemski nadal bierze udział

w poważnych, wartościowych imprezach sztuki polskiej. Jego obrazy trafiły do wielu muzeów, także do Guggenheima w Nowym Jorku, a nazwisko — do książek traktujących o naszym malarstwie współczesnym. Ziemski uczestniczy w wernisażach różnych wystaw urządzanych w Lublinie, czasami jako jedyny przedstawiciel związkowego środowiska. Po prawdziwie tylko on jeden spośród członków dawnej grupy „Zamek” jest nadal aktywnie obecny w życiu sztuki. Czy nie dlatego, że nie stracił zaufania do przedmiotu estetycznego, który, owszem, może być terenem intelektualnie płodnych spekulacji, ale pełne racje istnienia, pełną słyszalność zyskuje dopiero wówczas, kiedy myśl podaje przez formę plastyczną, ułożoną w określonym porządku i respektującą rudyment ludzkiego poznania? Na co warto wskazać przy okazji 35-lecia działalności twórczej artysty, którego wystawę otwarto 12 grudnia br. w sali lubelskiego BWA.

IJK



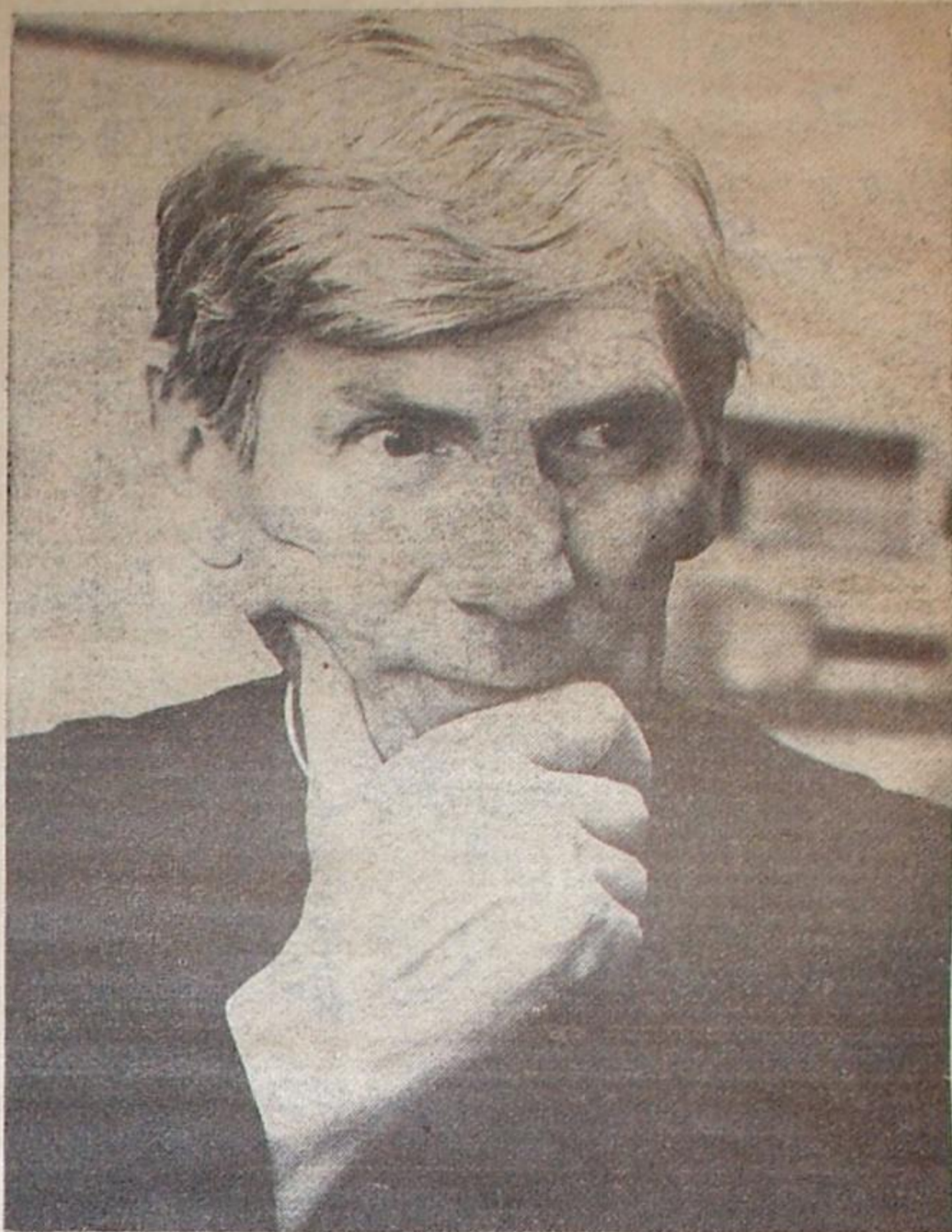
DROGOWSKAZY

Do szeregu osobistości ze świata kultury, nauki i sztuki zwróciliśmy się z prośbą o wypowiedź na temat zasad, którym kierują się w życiu, pracy twórczej i działalności społecznej. Zależało nam na uzyskaniu czegoś w rodzaju auto-komentarza ludzi, którzy dali się poznać od strony swoich osiągnięć, przy czym nie chodziło nam o otrzymanie „przepisu na sukces”, lecz orientacji ustalającej kierunek życiowych zamierzeń. Prosiłiśmy o wypowiedzi krótkie, by tym wyraźniej wyszła na jaw generalna linia postępowania.

W poprzednich numerach naszego pisma zamieściliśmy już tego rodzaju wypowiedzi prof. dra hab. Władysława Tatarkiewicza, prof. dra hab. Stanisława Lorentza i artysty grafika Szymona Kobylińskiego. W obecnym numerze zabiera głos wybitny biolog, prof. dr hab. Włodzimierz Sedlak.

WŁODZIMIERZ SEDLAK

WYRASTAJĄC z parszywych warunków dzieciństwa ocalić ludzki wdzięk i nie zgorzknieć. Połączyć twardość karborundu z miękkością matki. Zamknąć w sobie wszystkie kontrasty w dynamiczną całość. Życie jest strategią — do wygrania wszystko, do stracenia tylko ono. Wyzwolić komfort intelektualny w prymitywnych warunkach codzienności. W kompresji słabego zdrowia i warunków wypracować niezależność twórczego myślenia bez uniżoności względem idoli, autorytetów i potentatów. Indywidualny styl życia i metoda badania, oszczędna, bo na własnym rozrachunku, za to z poczuciem wolności i szerokimi horyzontami wyników. Tak stałem się syntetykiem własnego życia i syntetykiem w nauce. Zwłaszcza w biologii. Podziw dla ludzkich osiągnięć nie wyklucza świadomości, że to ani wszystko już ani bezbłędne. W nauce istnieje szeroki margines. Jeśli pragnie się być twórcą, a nie tylko erudyta, trzeba się wyrzucić poza ścieżkę deptaną w gęsim szeregu. Najciekawszego nie ma jeszcze w banku danych. Intryguje zaś w przyrodzie nieodgadnione, czekające na śmiałość i ryzykanta, a może tylko na człowieka nie większego od przyrody. Intuicja daje wstępną orientację, czego nauce brak i na co czeka świat. Trzeba jednak badać. Marynarska komenda: „Cała naprzód” — bywa pomocna. Ośrodki naukowego myślenia znajdują się wbrew logice nie wyłącznie w głowie, a w jej antypodach. Przy robocie trzeba siedzieć — wytrwale, systematycznie, konsekwentnie, do skutku. Zabim skokiem nie dojdzie do poznania przyrody. Syntetyk wykorzystuje informacyjną siećkę empiryczną coraz drobniej ciętą. Musi do niej interdyscyplinarnie podchodzić. By nie zagubić się w bezmiarze szczegółów, zakłada filtry proponowanego modelu, np. bioelektronicznego, i zbiera tylko, co należy. Nie magazynuje informacji, „metabolizuje” ją w nową konstrukcję myślową oddającą nieuchwytnie dotychczas mechanizmy działania przyrody. Ryzyko pomyłki jest tu znacznie mniejsze niż ryzyko niezrobienia niczego w życiu. Manifesty należy przede wszystkim sobie pisać, jeśli zamierza się czegoś dokonać.



Fot. Waldemar Stępień

Jan Lohmann

WCZORAJSZY KONCERT U LITERATÓW

— Czy to autor Białej Bogini
140 książek
Poeta

— Tak Ten sam
Myśli że mężczyźni piszą wiersze
by zdobyć łaskę panujących kobiet
Poeta liryczny
ale zbyt retoryczny żebyśmy pod jego dowództwem
mogli zburzyć matriarchat
Jak srebrna można bogini patronująca igraszkom
pomniejszych bóstw
przyjechał w żółtej kamizelce
srebrno niebieskim fordem

I pod wieczór rozkwitł na tle
czarnej toni Bechsteina jak białogłowa w zwierciadle
swojego alkierza

Oto radość
którą niesie ujrzenie ludzi
którzy już nimi nie są podobna do tej gdy dotykasz
z kajaka latem
biały kwiat
lili wodnej

Lecz gdy przeczytał po angielsku jeden
i drugi wiersz
Zobaczyliśmy więcej Usłyszeliśmy galopujące łąką konie
i Chopina muzykującego dla George Sand na Majorce

Jan Lohmann debiutował w „Kamieniu” przed 20 laty (red.)

Wacław Oszejca

ZŁE PRZECZUCIE

w zeschłych liściach przy drodze znalazłem
kilka kasztanów
kolorową miękką szmatkę
bucik całkiem dobry
związany urwaną sznurówką
na trzy dziurki
wmawiam sobie
na pewno z nagła zawołali dziecko do domu
z debiutanckiego tomiku „Zamyśl”.

DEBIUT

Julita Gębka

Julita Gębka — utalentowana pływaczka WKS „Lublinianka”, wielokrotna rekordzistka Polski, wycofała się z czynnego uprawiania sportu, podejmując studia na warszawskiej AWF. W pływaniu osiągała najwyższe laury, reprezentując Polskę na najpoważniejszych imprezach sportowych. W poezji — debiutuje dziś na łamach „Kamienia”.

Nie wiem nawet kiedy to się stało
i oto znów chodzę — zanurzona w liści omdlały żółty dywan
tego roku zaspaly świerszcze — a może ja zaspalam
co do mnie — to nie płaczę — nie piję — i w niebie nie bywam

Tego roku mój pies się zestarzał
siwieją jego oczy — jesień ręce zarzuciła mu na szyję
nie wiem nawet kiedy to się stało
i oto znów chodzę
jest jesień — ja jestem — niektórzy mówią że żyję

Cóż — starzeje się lato
trawa ściemniała od deszczu
szumi już w głowach makom
opadły orzechy z łąszczyn
Mówisz — że tak być musi
już słyhać kroki jesieni
wrzesień się w oczach kruszy
Włóż słońce do kieszeni!

Spójrz — bukiet słoneczników
prawda, że są prześliczne?
Tu świeca jest — w świeczniku
tak będzie romantyczniej
Dlaczego — coś znikło z twoich oczu
coś — czego by szukać na darmo
lato
a tyś nawet nie poczuł
że ono
po prostu
umarło

w walce o siebie — w rozsypce czasu — w wodzie rozbitej
o skok — o brzeg — o mnie
wzdłuż liny — wzdłuż czasu — wzdłuż wspomnień
płynę

Pawła Zolotowa żywo! skrzydlaty

Jan Gwałbert Zygmontowicz

O CZŁOWIEKU tym krążyły legendy. Śmiało się z niektórych opowieści, choć nie zaprzeczając ich prawdziwości. Ot, jak choćby pogłosce o testamentie.

Było to u schyłku lat pięćdziesiątych, kiedy Zolotow przystępował do rekonstrukcji „Farmana”, pierwszego samolotu z całej późniejszej serii płatowców w stylu retro jakie odtworzył niemal z pamięci. Otóż gromadząc wówczas różne materiały niezbędne do budowy historycznego „Farmana” z 1910 roku, przeziębził się pan Zolotow w wędrówkach za drewnem na dźwigary i trafił na dłuższe leczenie do lubelskiego szpitala. I kiedy czuł się bardzo źle, przykazał odwiedzającemu go sąsiadowi „panu Mazurowi, by ten w razie jego śmierci dokończył budowę „Farmana” i odbył na nim lot do Warszawy na święto lotnictwa. Brzmiało to rzeczywiście jak ostatnia wola, trudna wszakże do wypełnienia, jeśli zważyć, że pan Mazur, owszem, frezerm był dobrym, majstrem też, ale z laniem nigdy nie wspólnego nie miał.

Skrzydlaty żywo! Pawła Zolotowa rozpoczął się u schyłku ubiegłego wieku, hen nad Donem, w Taganrogu, gdzie się urodził i wychowywał. Tam

właśnie kilkunastoletni Pawka, odwiedzając miejscowego sklepikarza, wyczytał w pożyczonej gazecie, że gdzieś w świecie ludzie próbują latać niczym ptaki. Ale przyszły awiator wówczas nawet nie wiedział, jak wygląda samolot. Chęć lania była jednak tak silna, że pewnego majowego dnia 1910 roku Pawka po prostu zniknął z domu.

— Czorta-diabła — wspominał początki swej lotniczej kariery zaciągając śpiewnym, wschodnim akcentem — uciekł ja z domu nie nie mówiąc, do Petersburga. Bo tam, jak w gazetach pisali, miał być wielki, wszechrosyjski miting lotniczy. Chciał zobaczyć jak latają, poznać bliżej maszyny, z czego one zbudowane i jak. Interesowała mnie więcej konstrukcja samolotu, niż lanie. Może dlatego, że w te czasy nietatwo było biednemu wyuczyć się latać. Musiałby mieć tysiąc rubli na naukę i jeszcze na kaucję w razie podłamania maszyny.

A uciekinier z rodzicielskiego domu miał w kieszeni zaledwie trochę kopiejek. Nie posiadał też żadnych dokumentów i musiał sprytnie omijać petersburskich policjantów, którzy mimo to trzykrotnie go zatrzymywali i wydalali z miasta jako włóczęgę. Z uporem maniaka powracał na podmiejski hipodrom, gdzie trwały przygotowania do mitingu. Znalazł wreszcie pracę. Za noszenie wody i rąbanie drewna otrzymał tyle kopiejek, że starczyło na skromne utrzymanie i pozostanie w Petersburgu, z myślą oczywiście o dostaniu się do awiacji. Został mechanikiem i w tej roli jesienią 1910 roku po raz pierwszy wleciał w powietrze na „Farmanie-4”, pilotowanym przez Jefimowa.

Sentyment do „Farmana” pozostał na całe życie. Myślał o nim, gdy stał się już pilotem armii carskiej w momencie wybuchu I wojny światowej, gdy potem piechotą wędrował z Odessy do kraju swej matki nad Wisłą, gdy był instruktorem w Wojskowej Szkole Pilotów w Bydgoszczy. Ale „Farmanów” nie było już w lotnictwie. Zostały skasowane. Może właśnie dlatego zdecydował się na kupno dwóch innych, starych samolotów, które wycofywano z linii w bydgoskiej szkole.

— Miałem trochę oszczędności — wspominał — i żał mi było tych „Albatrosów”. Przecież to szkoda tak porządkować i spalić. Kupiłem, wyremontowałem i jednego zarejestrowałem w Ministerstwie Kolei Żelaznych, Departamencie Żeglugi Powietrznej za numerem 21. Bo w 1924 roku Polska miała tylko 20 samolotów cywilnych towarzystwa komunikacji lotniczej. Tak ja stałem się pierwszym w Polsce właścicielem prywatnego samolotu!

Latał na nim nad Polską; reklamując wódki Baczewskiego i mydło Schiehta, zarabiając na benzynie do samolotu, bo instruktorska pensja nie starczała na luksus lania dla samej przyjemności. Wyprawiał też na tym samolocie różne figle.

— W czerwcu 1926 roku — opowiadał — wystartowałem z lotniska Ławica pod Poznaniem z akrobatą cyrkowym Janem Zaborowskim w drugiej kabinie. Polecieliśmy w stronę mostu na Warcie, gdzie miały być pokazy lotnicze. Pod kadłubem miałem zamocowany trapez cyrkowy. Zniżyłem lot do 50 metrów i akrobata wyszedł na skrzydło, potem na podwozie. Na kole trochę odpoczął, a gdy był już na trapezie, dał mi o tym znać przez pokładowy „telefon”. Ten „telefon” to był sznurek przywiązany jednym końcem do trapezu, a drugim do mojego kolana. Ustaliliśmy: jedno szarpnięcie — jest na trapezie, dwa — zaczyna robić ewolucje, trzy — kończy pokaz i szykuje się do skoku. Teraz ja musiałem naprowadzić samolot jak najniżej nad środek Warty i lecieć z najmniejszą szybkością, żeby on mógł skoczyć do rzeki. Bez spadochronu oczywiście. Wreszcie ostatnie szarpnięcie sznurka. Skoczył! Ale tak mocno szarpnął, że mi noga spadła z pedału steru kierunku i „Albatros” niebezpiecznie pochylił się na skrzydło. Sam mało się nie wykapałem razem z samolotem.

Potem w Wilnie — bo sympatyk „Farmana” ciągle gdzieś latał po Polsce — spotkał tego fanatycznego lotnika jego były uczeń, por. Zwirko, którego Zolotow wyszkolił w Bydgoszczy. Wychowanek zaproponował nauczycielowi przelot do Łodzi, gdzie właśnie potrzebny był instruktor do szkolenia młodzieży w lotniczym Przesposobieniu Wojskowym. Sposobił więc młodych smakować powietrza aż do roku 1932, kiedy to trafił do Lublina jako oblatywacz w Centralnych Warsztatach Aeroklubowych. We wrześniu 1939 roku próbował walczyć, ale powiedziano mu, że pilotów i tak jest za dużo, natomiast na lotnisku potrzebny jest... stróż.

Wojnę spędził na przymusowych robotach, wywieziony przez okupanta aż do Nadrenii. Wrócił stamtąd zaraz po wyzwoleniu do kraju, znowu, jak kiedyś z Odessy, na piechotę. Przyszedł do Lublina i z miejsca przystąpił do organizowania lotnictwa cywilnego. Z tamtego okresu też krąży wśród lotników opowieść, jak to Zolotow uciekł samolotem z Warszawy do Lublina.

— Jesienią 1946 roku Aeroklub Lubelski otrzy-



mał z wojskowego demobilu pierwszy samolot, popularnego „kukuruźnika”. Trzeba było coś zafalować w Warszawie i wrócić tego samego dnia — wspominał to zdarzenie stary lotnik. — To był październik, trzynastego, ale dla mnie trzynastka nie straszna, bo pod nią urodzony. Październik, a tu śniegiem sypnęło. Zamieć taka że świata nie widać. Obsługa lotniska na Gocławiu nie chciała mnie wypuścić, bo niby do domu nie trafię. No, to ich oszukałem i uciekłem. A co, miałem wiosny w Warszawie czekać?

Niedługo jednak cieszył się Paweł Zolotow laniem. Krzywdząca nie tylko jego, niesprawiedliwa weryfikacja pilotów z końca lat czterdziestych spowodowała skreślenie oddanego bez reszty lotnictwu człowieka z listy personelu lotniczego. Po 40 latach niemal codziennego obcowania z samolotem zabroniono mu wstępu na lotnisko. Zamknął się wtedy w swej izbie domu przy ul. Lubarowskiej 42 i opuszczał ją tylko na czas pracy w jednej z lubelskich spółdzielni. To wówczas właśnie zrodziła się myśl zbudowania „Farmana”. „Zabroniło latać — kalkulował — ale nie zabroniło montować samolotu”.

Ukończenie budowy historycznej maszyny z epoki „latających etażerek” zbiegło się z przywróceniem mu w 1957 roku prawa do lania. „Farman” nie wystartował, bo posiadany silnik okazał się za słaby, ale płatowiec jako cenny eksponat trafił do Muzeum Lotnictwa i Astronautyki w Krakowie. Paweł Zolotow tymczasem znalazł pracę w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Świdniku, co miało istotne znaczenie dla dalszej jego działalności w tworzeniu replik starych samolotów. Najpierw wyremontował wrak amerykańskiego samolotu z ostatniej wojny — „Piper-Cub”, przekazany mu w 1960 roku przez Aeroklub PRL w „prezencie” z okazji przypadającego właśnie półwiecza jego lania. W rok później „Piper” został zarejestrowany przez Departament Lotnictwa Cywilnego i Paweł Zolotow stał się znowu właścicielem, tym razem pierwszego w Polsce Ludowej, prywatnego samolotu. Potem taką samą kurację odmładzającą zastosował wobec drugiego samolotu tego samego typu, na którym w 1964 roku startował jeszcze w zawodach. A miał już wówczas 72 lata!

Nadszedł czas, kiedy lekarze powiedzieli: „Dość już tego lania”. Ale Zolotow, uznał, że może być nadal przydatny dla lotnictwa i przystąpił z tym większą energią do rekonstrukcji jeszcze starszych samolotów. I tak w 1967 roku powstała wierna kopia „Bleriot’a — XI”, wstawionego przelotem nad kanałem La Manche w 1909 roku, w dwa lata później „Lotnia”, pierwowzór polskiego szybowca z 1896 roku, konstrukcji malarza Czesława Tańskiego, potem mini-wiatrakowiec „Bensen” i wreszcie samolot „Santos-Dumont” z 1906 roku. Nie zdążył tylko senior polskich lotników odtworzyć modelu pierwszego chyba w historii śmigłowca, którego zdjęcie jakimś sobie tylko znanym sposobem wydobyl z duńskiego muzeum. Zmarł w Lublinie 8 listopada br. przeżywszy 87 pracowitych, lotnictwu poświęconych lat życia. Każdy eksponat w zbiorach Muzeum Lotnictwa i Astronautyki w Krakowie czy Muzeum Techniki w Warszawie ma swoją historię, ale te samoloty zrodzone z pasji Pawła Zolotowa wyróżniają dzieje szczególnie — upór w dążeniu do celu i żmudna praca jednego tylko człowieka.



Paweł Zolotow jako pilot armii carskiej, rok 1915



... przy swoim pierwszym samolocie „Albatros” w Bydgoszczy, w roku 1924.



IRENEUSZ J. KAMIŃSKI: — O Filharmonii Lubelskiej imienia Henryka Wieniawskiego mówi się dużo i dobrze. W ulotce informacyjnej wydanej z okazji 35-lecia instytucji sami nawet uznaliście się „za centrum życia muzycznego wschodniej Polski”. Zgoda, ale czy takie samookreślenie daje jakiegokolwiek pojęcie o poziomie waszej działalności i czy w ogóle może być powodem satysfakcji?

Adam Natanek: — Osiągnąć w sztuce nie da się zmierzyć przy pomocy technik stosowanych na przykład w sporcie. Ale czy nie zezwala na uczciwą próbę wartościowania własnej pracy fakt, że jesteśmy jedną z nielicznych doprawdy instytucji tego rodzaju w Polsce, które konsekwentnie i od długiego czasu prowadzą działalność obejmującą cały obszar twórczości i upowszechniania kultury muzycznej? Mam tu na uwadze koncerty symfoniczne, których łącznie z operami w wersji estradowej i oratoriami dajemy niemal sto w ciągu roku, następnie — recitale i koncerty kameralne (często z udziałem wybitnych zespołów i solistów zagranicznych) oraz liczne imprezy umuzykalniające dla szkół, prowadzone według czteroletniego programu. Aktywność artystyczną i dyspozycyjność organizacyjną utrzymujemy przez cały sezon, co także nie należy do powszechnej praktyki.

IJK: — Filharmonia wyrosła z kilkunastoosobowej Lubelskiej Orkiestry Kameralnej, założonej w grudniu 1944 roku przez jej dyrygenta, Zygmunta Szczepańskiego...

AN: — ... która była spełnieniem wcześniejszych zamysłów i aspiracji lubelskiego środowiska muzycznego. Warto przy okazji wspomnieć, że tradycje zorganizowanego ruchu muzycznego sięgają w mieście początków minionego stulecia.

IJK: — Zdaje się, że tradycja określa też bieżący repertuar Filharmonii. Rzadko sięgacie po utwory współczesne, awangardowe, więc można przypuszczać, że na przykład jej dyrektor i kierownik artystyczny nie przepada za taką twórczością.

AN: — W krakowskiej uczelni muzycznej kształtowałem się m.in. pod kierunkiem Artura Malawskiego i wówczas, kiedy studiowali tam Krzysztof Penderecki i Adam Kaczyński, a wcześniej Bogusław Schöffel. Jako młody człowiek byłem zafascynowany, co naturalne, nowoczesnością, ale z wiekiem zacząłem zyskiwać pewną równowagę w swoich zainteresowaniach muzycznych, mówiąc obrazowo — zacząłem chodzić po ziemi. W obecnej roli nie mogę ponadto pomijać oczekiwań środowiska społecznego, w którym żyję i pracuję. Swego czasu dawaliśmy nawet koncerty prowokujące dyskusje wśród publiczności, ale już wtedy uprzedzałem otwarcie o osobistym braku entuzjazmu dla tych propozycji. A przedstawiliśmy je dlatego, ponieważ zawsze pragnęliśmy możliwie szeroko informować audytoria o tym, co dzieje się właśnie w muzyce dzisiejszej. Dowodem niech będzie fakt, że jedną piątą naszego repertuaru wypełnia współczesność. Pozostałą część przeznaczamy na klasykę i taką muzykę współczesną, która została już zaakceptowana przez publiczność. Idąc po linii oczekiwań krytyki wmanewrowaliśmy szybko Filharmonię w społeczną izolację.

IJK: — Publiczność zaś lubi operę...

AN: — ... a ponieważ nie ma w Lublinie sceny operowej, więc prezentujemy ten gatunek, ale w wersji estradowej, bez tej pretensjonalnej oprawy scenograficznej. Właściwie każdy może u nas znaleźć coś, co akurat jemu trafia do słuchu: Chopina i znanego z „Warszawskiej Jesieni” Górreckiego, Prokofiewa i Bacha, orkiestry kameralne i symfoniczne ze Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego, z Francji i Republiki Federalnej Niemiec. Jestem przy tym zwolennikiem programu skonstruowanego, podczas jednej imprezy można u nas usłyszeć np. koncert Berga i Beethovena, półrecital i koncert symfoniczny.

IJK: — No i w rezultacie takiej maozajkowej polityki repertuarowej Filharmonia nie narzeka na brak frekwencji, mimo że co tydzień (!) występuje z koncertem premierowym: symfonicznym, albo operowym czy oratoryjnym.

AN: — Sytuację ukształtowały inne jeszcze okoliczności. Z Filharmonią Lubelską związałem się zaraz po studiach, w 1961 roku, w wyniku konkursu na jej dyrygenta, a osiem lat później zacząłem kierować instytucją. Zdażyłem więc nieźle poznać osobowość artystów i zdobyć doświadczenie organizacyjne. Zresztą jeszcze podczas studiów pracowałem w szkolnictwie, co także okazało się przydatne w rozumieniu ludzi o szczególnym typie wrażliwości. W sumie miało to chyba jakiś istotny wpływ na skonsolidowanie zespołu i pozyskanie dla Filharmonii wielu bardzo zdolnych młodych muzyków. A na takiej podstawie można już było tworzyć wokół instytucji atmosferę zaufania artystycznego, obejmującą różne środowiska społeczne. W rezultacie powstało kilka nowych chórów amatorskich, które pozostają z nami w ścisłym kontakcie, mało tego: występują razem z orkiestrą Filharmonii po opracowaniu przynajmniej jednego koncertu premierowego, powtarzanego oczywiście. A podczas prób, które odbywają się w naszej sali, widzowie wypełniają krewni i znajomi chórzystów, poznający „kuchnię” muzyki. To nasze swoiste lobby liczy set-

ki, a może nawet tysiące osób. Innym przejawem społecznego zainteresowania działalnością Filharmonii są koncerty dla przedsiębiorstw i instytucji, zamawiane u nas z kilkumiesięcznym, a bywa że i rocznym uprzedzeniem. Stały się już na przykład tradycją koncerty podczas uroczystości jubileuszowych UMCS czy doktoratów honoris causa. Tak, proszę pana, buduje się szerokie audytoria.

IJK: — Jak przedstawia się przekrój pokoleniowy waszej publiczności?

AN: — 75 procent stanowi młodzież.

IJK: — Chwalicie się pełną widownią, ale salę macie niewielką, zaledwie 300-osobową...

AN: — Proszę jednak pamiętać, że koncerty są powtarzane i nigdy nie narzekamy na brak słuchaczy, choć nie istnieje u nas etat organizatora widowisk. Myślę, że przy zachowaniu obecnego profilu działalności możemy spokojnie myśleć o przyszłości, kiedy to otrzymamy nowe, obszerniejsze pomieszczenia w budowanym właśnie gmachu teatru i filharmonii. Projekt tego obiektu został „w marszu” opracowany z myślą o naszych potrzebach, co chyba najwymowniej świadczy o tym, że Filharmonia spełnia oczekiwania społeczne. Zresztą i za kulisami powstania kierunku wychowania muzycznego na Wydziale Pedagogiki i Psychologii UMCS stoi nasza instytucja. A jak pan sądzi: czy rychło powołanie w Lublinie filii warszawskiej Państwowej Wyższej Szkoły Mu-

zycznej byłoby możliwe bez Filharmonii, bez tego, czego dokonała i co robi nadal w środowisku?

IJK: — Lubi pan duże formy muzyczne, kantatowo-oratoryjne, na co sporo dowodów znajduje się w waszym repertuarze. Mam na uwadze m.in. „Requiem” Mozarta czy „Stworzenie świata” Haydna, cieszące się zresztą ogromnym zainteresowaniem publiczności. Nasuwa się więc pytanie, czy orkiestra, czy instrumentalisci Filharmonii potrafią rozwiązać każdy problem muzyczny? Mówi się, że w całym kraju można by skompletować co najwyżej dwa zespoły symfoniczne z prawdziwego zdarzenia...

AN: — Odpowiem krótko: po występach w ramach urzędzonej w Warszawie w 1974 roku „Panoramy Trzydziestolecia” zebraliśmy same pochlebne, a nawet entuzjastyczne recenzje. Podobnie potraktowała nasze koncerty na Węgrzech tamtejsza krytyka.

IJK: — Kurtuazja rozjaśnia widzenie świata, panie dyrektorze.

AN: — W ocenach krytyki węgierskiej jakoś jej nie spostrzegłem, a ostatecznie fachowcy potrafią odróżnić gesty od rzetelnej analizy. Idźmy

Na szerokiej klawiaturze

Z ADAMEM
NATANKIEM
DYREKTOREM
FILHARMONII
LUBELSKIEJ

rozmawia
Ireneusz J. Kamiński



Dlaczego nie występuje pan np. w swe-
trze?

Fot. Waldemar Stepien

ki, a może nawet tysiące osób. Innym przejawem społecznego zainteresowania działalnością Filharmonii są koncerty dla przedsiębiorstw i instytucji, zamawiane u nas z kilkumiesięcznym, a bywa że i rocznym uprzedzeniem. Stały się już na przykład tradycją koncerty podczas uroczystości jubileuszowych UMCS czy doktoratów honoris causa. Tak, proszę pana, buduje się szerokie audytoria.

IJK: — Jak przedstawia się przekrój pokoleniowy waszej publiczności?

AN: — 75 procent stanowi młodzież.

IJK: — Chwalicie się pełną widownią, ale salę macie niewielką, zaledwie 300-osobową...

AN: — Proszę jednak pamiętać, że koncerty są powtarzane i nigdy nie narzekamy na brak słuchaczy, choć nie istnieje u nas etat organizatora widowisk. Myślę, że przy zachowaniu obecnego profilu działalności możemy spokojnie myśleć o przyszłości, kiedy to otrzymamy nowe, obszerniejsze pomieszczenia w budowanym właśnie gmachu teatru i filharmonii. Projekt tego obiektu został „w marszu” opracowany z myślą o naszych potrzebach, co chyba najwymowniej świadczy o tym, że Filharmonia spełnia oczekiwania społeczne. Zresztą i za kulisami powstania kierunku wychowania muzycznego na Wydziale Pedagogiki i Psychologii UMCS stoi nasza instytucja. A jak pan sądzi: czy rychło powołanie w Lublinie filii warszawskiej Państwowej Wyższej Szkoły Mu-

zycznej byłoby możliwe bez Filharmonii, bez tego, czego dokonała i co robi nadal w środowisku?

IJK: — Lubi pan duże formy muzyczne, kantatowo-oratoryjne, na co sporo dowodów znajduje się w waszym repertuarze. Mam na uwadze m.in. „Requiem” Mozarta czy „Stworzenie świata” Haydna, cieszące się zresztą ogromnym zainteresowaniem publiczności. Nasuwa się więc pytanie, czy orkiestra, czy instrumentalisci Filharmonii potrafią rozwiązać każdy problem muzyczny? Mówi się, że w całym kraju można by skompletować co najwyżej dwa zespoły symfoniczne z prawdziwego zdarzenia...

AN: — Odpowiem krótko: po występach w ramach urzędzonej w Warszawie w 1974 roku „Panoramy Trzydziestolecia” zebraliśmy same pochlebne, a nawet entuzjastyczne recenzje. Podobnie potraktowała nasze koncerty na Węgrzech tamtejsza krytyka.

IJK: — Kurtuazja rozjaśnia widzenie świata, panie dyrektorze.

AN: — W ocenach krytyki węgierskiej jakoś jej nie spostrzegłem, a ostatecznie fachowcy potrafią odróżnić gesty od rzetelnej analizy. Idźmy

IJK: — Od dłuższego czasu rozwijacie też działalność umuzykalniającą w szkołach. Jak wasze koncerty przyjmują młodzież, wychowana na muzyce w stylu disco czy rock?

AN: — Akcja ta obejmuje 75 szkół makroregionu, przede wszystkim średnich, którym w ciągu roku przedstawiamy 10 tematów, realizowanych raz w miesiącu przez ekipę złożoną z 3-4 artystów i narratorsa. W ten sposób przekazujemy młodzieży podstawowe informacje z zakresu kultury muzycznej, a ich przyjęcie zależy od klimatu, jaki wokół sprawy wytworzą dyrekcje szkół. Stwierdzamy, że młodzież z mniejszych ośrodków jest wdzięczniejsza, bardziej angażuje się wewnętrznie podczas koncertów. Czy akcja ta przynosi jakieś trwałe rezultaty? Chyba tak, skoro po naszych występach otrzymujemy telefoniczne prośby o rezerwację, przykładowo, 40 biletów dla uczniów, którzy pragną wysłuchać koncertu w siedzibie Filharmonii. Bywa też, że problematyka muzyczna staje się tematem wypracowań szkolnych. W ciągu roku to młodzieżowe audytoria obejmują 250 tysięcy osób, z czego 7-9 procent to nasi stali słuchacze. W 1980 r. rozpoczynamy nowy cykl koncertów o charakterze dydaktycznym, przeznaczony dla studentów i organizowany wspólnie ze „Standardem Ludu”.

IJK: — Słowem, Filharmonia Lubelska jest mocno i sensownie usytuowana w różnych środowiskach społecznych i zawodowych regionu. Liczy się z ich oczekiwaniami muzycznymi, dyskretnie je kształtuje, inspiruje ruch amatorski, jest wspaniałomyślna, bo bezpłatnie, o ile się nie myli, wypożycza salę na próby naszego zasłużonego „Echa” i innych chórów, które jakoś tam powołała do życia...

AN: — Proszę pana, tu nie może być mowy o „wspaniałomyślności”. Ten cały ruch muzyczny to nasza wspólna sprawa: artystów profesjonalnych, amatorów i publiczności. Tylko takie podejście do kwestii kultury muzycznej w społeczeństwie zapewnia nam skuteczność działania, w praktyce przejawiająca się pod postacią wypełnionej widowni na każdym niemal z 1000 koncertów, które organizujemy w ciągu roku.

IJK: — Wobec poruszonych problemów pytanie, które chciałbym zadać panu na koniec interesującej dla mnie rozmowy, wyda się śmieszne, ale trudno: dlaczego występuje pan we fraku, albo w smokingu, zamiast na przykład w garniturze z „Mody Polskiej”, czy wręcz w swetrze?

AN: — To sprawa konwencji, tradycji obowiązującej na całym świecie i wywodzącej się z XIX wieku, nie poza tym.

IJK: — Wie pan, to nie taka kiepska tradycja...



Pięć milionów widzów

Maria Bechcyc-Rudnicka

W SYTUACJI niewiele łatwiejszej od tej, w jakiej organizowali teatr pionierzy z sierpnia 1944 roku, znalazł się następca Antoniego Różyckiego, Maksymilian Chmielarczyk, aktor o wielkim talencie, prezes lubelskiego koła ZASP (za PKWN — prezes Zarządu Głównego). Przede wszystkim stracił on od razu większość „gwiazdorów” zniechęconych lubelskimi warunkami mieszkaniowymi. Lecz Chmielarczyk, doświadczony organizator, z miejsca dokompletował zespół i nawet dołożył starań do podniesienia poziomu repertuaru. Sezon otwarto „Dwoma teatrami”, po których premierze Juliusz Kleiner pisał w „Życiu Lubelskim”: *Wybór sztuki i jej realizacja dały świadectwo, że nowa dyrekcja i nowe kierownictwo literackie ma wielkie ambicje artystyczne i społeczne, a talent i zapał artystów dają rękojmię spełnienia zamierzeń ambitnych.*

Wręcz ponad siły pracował w sezonie 1947/1948 główny reżyser, Czesław Strzelecki. Wiosną przybyła mu w sukurs od Schillera z Łodzi Zofia Modrzewska, na dwie inscenizacje gościnnie. Jej słynny spektakl „Poskromienia złośnicy” na tle zamojskiego Ratusza zgromadził na starym rynku z osiem tysięcy widzów. Długie lata pracy tej znanej reżyserki w lubelskim teatrze dramatycznym są chyba najpiękniejszym okresem jej pracy artystycznej.

Iluż zasłużonych i doskonałych aktorów, których znalazł w tamtym czasie, dziś już nie żyje! Przede wszystkim sam nieodżałowany dyrektor Maksymilian Chmielarczyk, następnie — Czesław Strzelecki, jego żona Maria Wilkoszewska, Karolina Lorentz, Leon Wollejo, Jerzy Rygier, Roman Cirin, Marian Kondracki, Janina Łaszczyk, Leon Gołębiowski, Lechosław Litwiński, Maria Konaszewska, Tadeusz Kosudarski, Aleksander Aleksy... Pamięta ich dobrze paru ich kolegów dotąd wiernych Lublinowi — Stefania Cybulska (wdowa po M. Chmielarczyku), Zofia Stefańska, Stanisław Olejarnik, Stanisław Maleszewski — i ci, którzy rozjechali się po innych miastach: Kazimierz Iwiński, Irena Skwierczyńska, Juliusz Grabowski, Lech Skolimowski, Halina Ziółkowska, Zbysław Jankowiak.

Chmielarczyk zapoczątkował akcję instruktażową w zespołach „ochotniczych” tudzież objazdy terenu (mimo braku odpowiednich sal i środków i pomocy). Spędzała mu sen z oczu głównie konkurencja Teatru Muzycznego, która czyniła spustoszenia na widowni Teatru Miejskiego, prowadzonego systemem „działowym” i żyjącego z kasy.

Kłopoty te skończyły się z upaństwowieniem Teatru Miejskiego w dniu 1 września 1949 r. Od tego czasu linia repertuarowa przez długi okres śmiało wspina się w górę.

Jerzy Ukleja, obejmując stanowisko po M. Chmielarczyku, miał poniekąd kłopoty finansowe i kadrowe z głowy. Teatrowi przybyli tacy aktorzy, jak: Stanisław Mikulski, Piotr Kurowski, Mieczysław Górkiwicz, Irena Miska, Stanisław Michalik, Marian Drozdowski, Jadwiga Grossman, nieodżałowany — Halina Przybylska i Zbigniew Roman. Ukleja posiadał umiejętność wyważania repertuaru. Obok szacownej klasyki — śmiało wprowadzał świeże pozycje współczesne (jak np. „Wielka gra” Janusza Makarczyka). Przywieziona z warszawskiego „Ateneum” grupa młodszych aktorskiej obojętności zajmowała się analizą pracy nad rolą, według Stanisławskiego. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie pewne chwilowe tarcia między „starymi” i „nowymi”, które znalazły posłuch u jednego z recenzentów.

Nobliwie prezentuje się w mojej pa-

nieli okres dyrekcyjny Zdzisława Lorenowicza (II.1955—IV.1958). Lorenowicz nie aktor, nie reżyser, nie scenograf, po prostu intelektualista o różnorodnych zainteresowaniach, dla którego teatr był chyba w tamtych czasach wielką przygodą, lubił i umiał budzić w otoczeniu ciekawość dla współczesnych problemów artystycznych. Te jego upodobania wytwarzały w zespole dążenie do emulacji z przodującymi teatrami kraju. Zespołowi, który ma dobrą reputację w świecie teatralnym, przybysza szereg wybitnych indywidualności. Przez jeden sezon gra na lubelskiej scenie Zofia Kucówna. Dość długo pozostaną w Teatrze im. J. Osterwy Halina i Jan Machulscy (z ich inicjatywy powstanie tu później mała scena eksperymentalna „Reduta 61”). Są też w zespole m. in. — Andrzej Balcerzak, Teresa Lassota, Adela Zgrzybłowska, Jerzy Smyk...

O trzynastoletnim okresie dyrekcji Jerzego Toronczyka, który rozpoczął pracę w lubelskim teatrze jako scenograf jeszcze przy „Weselu” 44 roku, można by napisać całą broszurę, w lapidarnym skrócie ograniczam się do stwierdzenia, że były to właściwie dwa podokresy. Pierwszy charakteryzuje kontynuacja polityki repertuarowej i kadrowej poprzedniej dyrekcji, przy bardzo umiejętnej gospodarce finansowej, w drugim — od momentu rozpoczęcia współpracy z nowo przybyłym na stanowisko kierownika artystyczne-

go Kazimierzem Braunem — teatr wstępuje na drogę eksperymentów formalnych. Z chwilą gdy po niewczesnej śmierci Jerzego Toronczyka, Kazimierz Braun zostaje z kolei powołany na stanowisko dyrektora, ustawia on Teatr im. Osterwy na pozycjach awangardowych w przyspieszonym tempie.

Rozpatrując łącznie lata dyrekcyjne Jerzego Toronczyka (V.1958—30.IV.1971) i Kazimierza Brauna (I.IX.1971—31.XII.1974), widzimy, że na tej wielkiej przestrzeni czasu lubelski teatr dramatyczny coraz lepiej dotrzymywał kroku przodującym teatrom polskim, zarówno w doborze sztuk, jak w ich wykonaniu. Obok najcenniejszych pozycji klasycznych dramaturgii narodowej i obcej wprowadzono na lubelską scenę szereg dzieł takich znakomitych polskich dramatopisarzy współczesnych, jak Sławomir Mrożek („Na pełnym morzu”, „Zabawa”, „Czarowna noc”, „Karol”, „Tango”, „Szczęśliwe wydarzenie”), Tadeusz Różewicz („Smieszny staruszek”, „Akt przerywany”, „Kartoteka”, „Stara kobieta wysiaduje”), Stanisław Grochowiak („Szachy”, „Partita na instrument dętych”), Ireneusz Iredyński („Zejście do piekła”)...

Ranga teatru jest uzależniona od ludzi, którzy w nim pracują, dlatego też cytowałam poprzednio tyle nazwisk. Pomijając aktorów zespołu obecnego, bo osiągnięcia ich widzimy naocznie, wymienię teraz jeszcze choćby nikłą

część tych naszych artystów, którzy osiągnęli dalsze sukcesy na innych scenach, a więc: Danuta Nagórna, Henryk Bista, Krzysztof Gordon, Grzegorz Mrówczyński, Andrzej Gazdeczka, Zofia Bajuk, Ewa Kania, Józef Onyszkiewicz, Zbigniew Górski, Sylwester Woronicki, Jerzy Schejbal, Wanda Wieszczycka, Paweł Nowisz, Edwin Petrykat. Ilekroć nazwiska świetnych naszych aktorów nie zmieściło się na tych szpaltach!

Jest rzeczą naturalną, że nie omawiam tu obecnego, niedopełnionego okresu dyrekcji Zbigniewa Szejmmana. Ocenialiśmy jego działalność wielokrotnie, jak to się mówi — „na bieżąco”. Jubileuszowy przegląd repertuaru umożliwił ocenę aktualnego poziomu Teatru im. J. Osterwy. Pozwolę sobie natomiast po raz ostatni posłużyć się nazwiskami do określenia rangi lubelskiego teatru. Tym razem będzie to wykaz (niepełny) reżyserów i scenografów, którzy współpracowali z naszym teatrem od czasów dyrekcji Z. Lorenowicza, gościnnie lub jako etatowi członkowie zespołu artystycznego.

Są to reżyserzy: Jan Kreczmar, Józef Wyszomirski, Maria Wiercińska, Jan Świdorski, Jerzy Goliński, Maria Straszewska, Jerzy Rakowiecki, Marek Okopiński, Jerzy Zegalski, Jan Biczycycki, Hugon Moryciński, Lech Komarnicki, Adam Hanuszkiewicz, Lidia Zamkowska, Helmut Kajzar, Józef Gruda, Irena Babel, Józef Slotwiński.

A scenografowie: Jadwiga Pożakowska, Xymena Zaniewska, Wojciech Krakowski, Otto Axer, Lilliana Jankowska, Antoni Tośta, Teresa Targońska, Krzysztof Pankiewicz, Janusz Warpechowski, Lech i Michalle Zahorscy, Barbara Jankowska...

Od r. 1944 do 1 I 1979 zrealizował lubelski teatr dramatyczny 307 sztuk, prezentując 18 000 spektakli, które obejrzało około 5 milionów widzów. Prowadzona przez Teatr im. J. Osterwy akcja upowszechnienia kultury teatralnej obejmuje obecnie nie tylko województwo lubelskie, ale i województwa sąsiednie (wg nowego podziału administracyjnego): zamojskie, chełmskie, radomskie, białkopodlaskie, tarnobrzeskie. Ponadto podpisano umowy o stałej współpracy z województwami — krośnieńskim i przemyskim.

Teatr uzyskał niejedną nagrodę na festiwalach międzywojewódzkich. Nawiązał współpracę z szeregiem teatrów zagranicznych w Związku Radzieckim, Jugosławii, we Francji. Ostatnio szczególnie pięknie rozwija się współpraca z Teatrem im. Lenińskiego Komsołmu Białorusi w Brześciu oraz z Teatrem im. Vasile Alesandri w Jassach.

Niemalą rolę w przygotowaniu widzów do recepcji sztuk awangardowych spełnia Studium Dramaturgii Współczesnej, powstałe przy teatrze w r. 1970 z inicjatywy Koła SPATIF przy poparciu dyr. K. Brauna. Oto najbardziej popularne nazwiska autorów sztuk wykonanych przez SDW: Witkacy, Gombrowicz, Mrożek, Różewicz, Grochowiak, Herbert, Iredyński, Abramow, J. Rymkiewicz, Bordowicz, Bulhakow, Wampłow, Zorin, Wołodin, Pinter, Genet, Albee, Sarovan, Ghelderode, Tennessee Williams, Arrabal, Joyce, Beckett, O'Neill itd.

W przedstawieniach Studium brali udział chyba wszyscy aktorzy naszego teatru. Spiritus movens tego znakomitego i już zasłużonego przedsięwzięcia jest Roman Krużkowski, prezes lubelskiego oddziału SPATIF.

Premiery Studium odbywają się co miesiąc w klubach osiedlowych, studenckich oraz Międzynarodowej Książki i Prasy przy dużej, stałej frekwencji miłośników teatru. Spektakle mają swój specyficzny styl: główny nacisk kładzie się na słowo autora i na ekspresję aktorską, przy inscenizacji sprowadzonej do minimum, do znaków „wywoławczych”.

Przytoczone w tym przeglądzie fakty, liczby i nazwiska pozwalają, jak sądzę, na wysoką ocenę działalności lubelskiego teatru dramatycznego w 35-lecie. W moim przekonaniu Państwowy Teatr im. J. Osterwy jest jednym z najlepszych i najbardziej zasłużonych teatrów Polski Ludowej.



Friedrich Dürrenmatt — „Romulus Wielki”. Jan Świdorski i Nina Czernska. Premiera 12 III 1960 r.

Fot. Wanda Parys



Nim zabłyśnie gwiazdka

Leszek Płazewski

CHOINKA stała w kącie pokoju, na mocnym żelaznym krzyżaku. Przystrajal ją Adam Poświat i jego sześciolatek syn Dariuszek, bo żona Adama w tym czasie gotowała zupełną sliwkową na dzisiejszy wieczór. Nie wiadomo tylko było, co znajdzie się pod tą choinką z chwilą zabłyśnięcia pierwszej gwiazdki. Najbardziej zastanawiał się nad tym Dariuszek, niebieskooki blondas.

— Nie się nie martw — pocieszył go ojciec. — Jak będziesz grzeczny, to św. Mikołaj nie zapomni o tobie.

— Dzieci w przedszkolu mówią — odparł Dariuszek — że wcale nie ma św. Mikołajów.

— Nie ma tylko dla niegrzecznych — powiedział ojciec i pogłaskał chłopczyka po płowej główce. — Ale ty jesteś grzeczny, to teraz idź i pobaw się, żebyś na podarunek zasłużył.

Dariuszek bez słowa sprzeciwu poszedł do swego pokoju, w którym miał całe królestwo zabawek. Adam Poświat popatrzył za synem z należytą ojcowską dumą, po czym przeniósł wzrok na żonę Teresę, ledwie widoczną przez zaparowaną szybę oddzielającą większy pokój od kuchni. Miał już wszystko zaplanowane. Dla syna kupił jakiś nakręcany traktor, dla Teresy bluzkę z elastiku, dodatkowo mogą być rajstopy. Tak sobie pomyślał i ukradkiem otworzył drzwiczki do barku mieszczącego się w meblościance. Nalał sobie jeden kieliszek prosto z karafki, którą Teresa dostała jeszcze od dziadków. Chuchnął samym zdrowiem i wychylił jeszcze jeden. Wykonał to wszystko szybko, aby nawet przez moment nie zakłócić nastroju przedświątecznego. Niczym nie zdradzając się, poszedł do przedpokoju, włożył bułgarski koczuszek, czapkę futrzaną i stanął w progu kuchni. Po cwaniacku zmruczył oko, przyłożył do ust palec.

— Tylko wcześniej wróc — powiedziała Teresa — bo potem z tymi dojazdami to wiesz, jak jest.

Adam ze zrozumieniem kiwnął głową. Wódka ciepło rozlewała mu się po całym wnętrzu. Grzała cieplej niż najlepszy kaloryfer.

— Kiedy zabłyśnie gwiazdka na niebie — powiedział — to ja na pewno przyjdę do ciebie.

— Tobie tylko żarty — mruknęła — a ja nie wiem, kiedy się obrobie.

— Obrobisz, obrobisz, jeszcze mi przy stole pięknie buzi dasz. Po co ten krzyk, kochanie. Święta są raz w roku.

— No, idź, jak masz łś — powiedziała Teresa i otarła fartuchem spocone czoło. Wyglądała na porządnie zmęczoną. Z kuchni rozchodziło się nieznośne ciepło i zapach migdałowego ciasta.

Adam jako dobry ojciec zerknął jeszcze do mniejszego pokoju. Dariuszek w najlepsze bawił się klockami, ustawiał z nich wielkie szwedzkie budowle. Adam przez chwilę patrzył na syna, gwizdząc cichutko jeden z ostatnich przebojów, bo noc za krótka jest na sen, po czym również cichutko wymknął się z domu.

Na dworze nie było specjalnie mroźno, ale zawiewał przykry wiatr. Pod wysokimi blokami stał rząd samochodów. Niektóre okryte szczelnymi plandekami przygotowanymi już na długi zimowy sen Adam Poświat popatrzył na nie z lekką zazdrością i ruszył do przystanku autobusowego. Po kilku minutach nadjechał autobus. Nawet zupełnie pusty i jakby w pół świąteczny. Kobiety i mężczyźni wyglądali inaczej, bardziej elegancko, nie tak jak w zwykły roboczy dzień. Jakiś czarniawy opowiadał kawały. Adam sadowiąc się na tylnej ławce mimowolnie pomyślał, że tamten musiał już spełnić kilka dobrych toastów za pomyślność przyszłych dni. Potem spojrzal w okno, na wysokie bloki nowej dzielnicy, które wyrosły na dawniejszych polach. Pamiętał tamtejsze pola dokładnie. Jakieś dziesięć, może dwanaście lat temu chodził tam z chłopakami po lekcjach. Najczęściej grali w piłkę, ale zdarzyło się, że wypili i kilka bu-

telek wina. Tam również spacerował z pierwszą dziewczyną, ale nie młodzieńcą i szczupłą, o niewinnym spojrzeniu. Była to postawna dziewczyna, cztery lata starsza od Adama. Coraz wyraźniej przypominał sobie twarz kolegów i ze szkoły, i z osiedla, którego już nie było. Zastąpiło je inne.

W Domach Towarowych Centrum nabył w zatłoczonym stoisku prezent dla Teresy, w drugim, tak samo zatłoczonym, dla Dariuszka. Wprawdzie trochę się namęczył nad wybraniem odpowiednich rzeczy, ale nie narzekał. Nawet próbował z jedną z ekspedientek umówić się na kawę, zresztą całkiem niebrzydka dziewczyna. Oczywiście umawiał się dla zwykłego żartu, chociaż po wyjściu na ulicę nie uważał już tego za żart. Nie przecież nie zaszkodziłoby posiedzieć gdzieś w cichej kawiarence z jakąś ładną nieznaną. Do domu jechać o tej porze było stanowczo za wcześnie. No i sprawa zaczęła się jakby materializować. Otóż pewna blondynka popatrzyła na Adama bardzo obiecująco. Adam przełożył z ręki do ręki trzy oddzielnie zapakowane sprawunki i na razie niezbyt się uśmiechnął. Ona stała na tle ulicznej olbrzymiej choinki, gdzie obok kręciło się dwóch św. Mikołajów w czerwonych chałatach i niski barczysty fotograf o sinej twarzy. Ale nim zdążył zaobserwować reakcję blondynki, zobaczył swojego dawnego szkolnego kolegę Zygmunta Pleśniaka zwanego Dolarem. Tego kolegę, który zaraz po szkole dla innych stał się mitem. Po prostu chłopak umiał się urządzać. Nie wyglądał na pewno najlepiej, ale Adam nie miał potrzeby nad tym się zastanawiać. Ważne było, że po tylu latach spotkał dobrego kolegę.

— No, kto by pomyślał, że po tylu latach akurat dziś się obaj spotkamy — powiedział Adam ucieszony i uściśnął rękę tamtemu.

Dokończenie na str. 12



Debrezyn

Fot. Waldemar Stępień

POEZJA WĘGIERSKA

Sándor Csöör

CZEGO SZUKAM TU

Czego szukam tu
w tym żółtym miasteczku,
gdzie Matka Boska wychyla się z okna świątyni,
a wiatr spieszy na kościelną wieżę wybijać godziny?

Czego szukam tu, gdzie w gardle kamiennego łwa
ptak ze świergotem wije gniazdo,
gdzie nikt nie odgaduje na nowo
imion umarłych bohaterów
i klinowego pisma?

Czego szukam tu, gdzie zegarmistrz
stanął przed sklepem i mierzy oczyma czas?
Odległy promień kobaltu przenika mu czoło,
lecz on sterczy
jakby sprzed naszej ery.

Kamienne ptaki z wystawy
od jak dawna sposobią się do odlotu?
Pod ich skrzydłami moja uśmiechająca się młodość
obróciła się w pył Alföldu —
sen — mumię.

Czego szukam tu, gdzie zielona rzeka,
jak taśmowa pila,
moją miłość przecięła na dwoje,
a zaszczurzony kasztel — młyn wodny,
zdążył już ziemię i kości?

Jeszcze ostatni uśmiech ulcom,
ustępom na rynku i świątyniom,
kocim łbom,
bezdomymsom
i antenom skrzypiącym jak chorągiewki na dachach

Przełożył Aleksander Nawrocki

István Kovács

GŁOSA DO PEWNEGO PRZEKŁADU

Próżno czekałem wodza pułku.
Zniknął, ślad nawet nie został.
Stał kościół na dywanie z jabłek,
między wieżami księżyc-klódka.

Za jabloniami ogrodzenie,
strach na wróble swe szaty marszczy.
„Nie ma nagrobka, nie ma krypty”.
Z daleka pociąg zamajaczy.

Tak jak przystoi, tak biblijnie
nie wystąpi też Ludzka Para.
„Nie mieliśmy w tych dniach smarłego,
jedynie chrzciny były wczoraj”.

Próżno czekałem pułkownika.
Gdym pieszo do domu wracał
i w milczeniu, prószyc zaczął.
I śnieg starych kronik padał.

Przełożył Jerzy Snopek

Sándor Kányádi

JAK RZKA

tak jak rzeka pod wiecznym
cieniem chylących się
ku sobie wierzb
tak płynie moja tęsknota
monotonnym szelestem
błyska wysoko
rybami o srebrnych brzuchach
gdy czasem choćby na chwilę
przeświecili ją słońce

Przełożył Jerzy Snopek





Rys. Jerzy Lipiec

Janusz Gaudyn

EPITAFIA

DAMY LEKKIEJ

Po raz pierwszy leży w odzieży.

MYSLIWEGO

Gonił dzika. Potem dzik jego. Odpoczywa kolego.

LUDOZERCY

Tu nie leży nikt, bo na stypie goście siedli, oplakali go i zjedli.

UŚWIADOMIONEGO

Ni do piekła, ni do nieba, pójdę tam, gdzie właśnie trzeba.

JAWNOGRZESZNICY

Zgrzeszyłam nieraz. A teraz?

FRASZKI

Jan Górczyński

Poliglota

Jaka w układach panuje taktyka, takiego potrafi używać języka.

Wyrachowany

Nigdy się nie płami walką z wiatrakami.

Jerzy Leszczyński

Jak odróżnić?

Społecznik chętnie służy ogółowi — każdemu gotów służyć karierowicz.

Wniosek

Jeżeli zjadł ktoś wszystkie rozumy — to miał żołądek chłanny — nie umysł.

Bogusław Wieczorek

Spektakl

Spektakl cenny o tyle, że widz płaci za bilet.

Aleksander Jerzy Gauda

Marzenie zawodowe

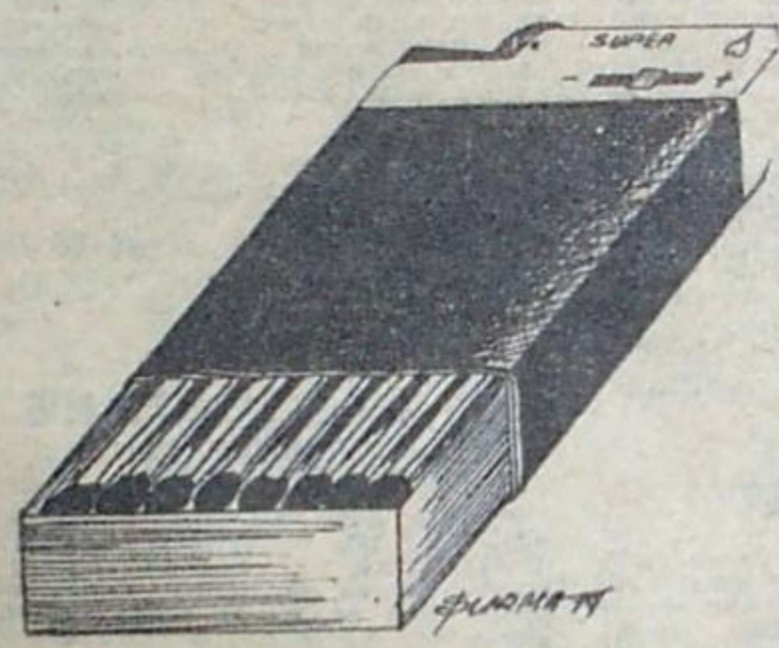
Zawsze marzyłem o zawodzie oryginalnym; Na przykład degustatora w biurze matrymonialnym.

Trochę niesamowity przypadek poświęcenia się swoim hobbies

Tomasz Zugaj

W trzeciej dzielnicy przy jednej z przecznicy mieszka pan, podobnie jak i jego sąsiedzi, zasobny w pieniądze. Pan ten postanowił poświęcić się budownictwu; najpierw zakupił działkę i ogrodził ją solidnym płotem. Uzbroił teren w studnie głębinowe i szamba, posadził drzewa i zwiózł wreszcie cegły. Przez kilka lat przyjeżdżał tu na weekendy, by cegły wianoręcznie układać.

Nareszcie gotowy był parter i ściany pierwszego piętra. Pozostał problem, jak zaprojektować wejście na górę. Pan chciał, by było ono co najmniej szokujące. Przymierzał drabiny zwykłe i sznurowe, liny zwisające luźno, ale nic nie mogło go zadowolić. Postanowił zbudować schody, włożył w to wszystkie swoje siły, tworząc z artystyczną pasją już nie klatkę schodową, ale pomnik ku czci wynalazcy stopni układanych jeden nad drugim. Pomnik wspaniały, zdobny światłkami, błyszczącym metalem i marmurem, i ani się nie obejrzał, jak rozbudowując swe schody zburzył dom, aby wszyscy mogli podziwiać jego monumentalne dzieło.



Rys. Jan Surma

JESTESMY od pięciu lat małżeństwem. Każdego roku w wigiliję żona znajdowała pod choinką podarek ode mnie. Oto w waleńskim skrócie historia moich prezentów gwiazdkowych. Pierwsza gwiazdka po ślubie. Żona znalazła pod choinką przepiękną białą suknię, najdroższą, na jaką było mnie stać. — Och, jaka piękna! — wykrzyknęła stojąc w niej przed lustrem. — Skąd ty wzięłaś miarę, jakby ułał na mnie... — Przecież żyjemy ze sobą już prawie rok — powiedziałem szczęśliwy. Nagle Hela, czyli moja żona, odwróciła się na pięcie niczym baletnica. Przeszyła mnie nienawistnym spojrzeniem: — A może ta biała suknia to aluzja, że nie byłem dziewicą? — Milczałem zaszokowany jej skojarzeniem. — Milczysz? Wiesz to prawda! Zawsze byłeś perfidny... Nie minął rok a on... Tyle razy ci tłumaczyłam, że nie mam ciemnej sukni wieczorowej! Wpadła w waleńki szloch i przez całe dwa dni świąt nie odzywała się do mnie. W drugą wigiliję uszczęśliwiony kładłem pod choinkę pakunek. Nauczony doświadczeniem nie popełniłem drugi raz tego samego błędu, myślałem z zadowoleniem. — Nie masz ani odrobiny fantazji — powiedziała Hela z kwaśną miną po rozwiązaniu paczuski. Blysk jej oczu oznaczał jednak, że suknia jej się podoba. Pogrymasi i uspokoił się, pocieszałem się w duchu. Nagle podbiegła do mnie. — A co ty sobie wyobrazasz?! — zacytowała mi w twarz. — Nie minęła dwa lata, a ty chciałbyś się mnie pozbyć! — zaszlochala. — Taka suknia akurat do trumny! — krzyknęła rzucając z nienawiścią suknię w kąt pokoju. Rzeczywiście czarna suknia leżąca w kącie wyglądała strasznie. Hela na po-

Moje gwiazdkowe prezenty

Czesław Kurjata

elezienie włączyła telewizor i śmiejąc się przez trzy godziny programy rozrywkowe. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin ani razu mnie nie zauważyła. Wierze mi, naprawdę kocham swoją żonę. Na trzecią gwiazdkę chciałem więc za wszelką cenę zrehabilitować się za dwa poprzednie prezenty. W pełni wynagrodzić wyrządzone jej przykrości. Do trzech razy sztuka, pocieszałem się w myślach. — Co to jest? — wyraźnie zainteresowana zapytała Hela. — Najnowszy robot kuchenny — wyjaśniłem skromnie. — Kosztował mnie masę pieniędzy — dodałem cicho. — Sama myje, suszy, sprząta, gotuje... Nie, żona nie pozwoliła mi do końca wymienić wszystkich zalet robota. — A więc ty już po niecałych trzech latach małżeństwa chcesz ze mnie zrobić kuchnię domową?! — wykrzyknęła nie panując nad nerwami. — I to ta-

kie coś na gwiazdkę, inne dostają złote pierścionki z brylantami!!! — Pamiętam, podczas tamtych świąt mieliśmy pójść do znajomych. Minęły od tamtego czasu dwa lata, a znajomi jeszcze gniejąją się na nas, ześmy ich zlekceważyli... Z trudem przeżywałem tamte trzecie święta, pocieszałem się w duchu, że za rok dogodzę Heli na pewno. Sama przecież dała mi do zrozumienia, że marzy o biżuterii... — O, jakie ładne! — pochwaliła pierścionki w pierwszy dzień czwartych naszych wspólnych świąt. — Śliczny jest ten z kamieniem kszycocowym! — mówiła dalej zachwycona. Stwierdziłem dumny jak paw, cały w skowronkach, choć za oknem hulała śnieżycy. No, nareszcie jej dogodziłem; tym razem święta spędzimy w spokoju, pomyslałem. Zaraz nawet podzieliłem, aby przytulić się do ślubnej. — A gdzie tym masz swoją obrączkę?

— oglądając moje ręce nagle zapytała. — Już ci mówiłem, zastąpiłem kiedyś w przedziale sypialnym, na umywalce... Po Nowym Roku kupię drugą, najpiękniejszą ciębie... Tak, resztoroczne święta spędziliśmy podobnie jak wszystkie poprzednie. To znaczy przetrwaliliśmy obok siebie w milczeniu. Wczoraj minęła nasza piąta wspólna wigilia. Długo myślałem o tym, co mam kupić, aby uratować nasze małżeństwo. Ja przecież naprawdę kocham swoją żonę! Przez cały grudzień chodziłem po sklepach i na nic nie mogłem się zdecydować. Wszystko, co wzięłem do ręki, Hela mogła odezwać jako złośliwą aluzję pod jej adresem, lub skojarzyć z sytuacją, która źle o mnie świadczy. I tak oto, mnie, nie mogącego się z powyższych względów na cokolwiek zdecydować, zaskoczył wczoraj wigilijny i pierwsza gwiazdka na niebie. W pierwszy dzień świąt Hela całą godzinę niecierpliwie szukała pod choinką i nic nie znalazła. — No, tak, wiedziałam, że do tego dojdzie...! I pomyślałem, że pięciu latach zgodnego małżeństwa...! A więc ty już mnie nie kochasz? Dobrze, rozjeżdżemy się... Ale ja ani myślę ruszać się z tego mieszkania! Może tobie nie, ale mnie przypomniała ono nasze szczęśliwe lata... — przeraziła ją zaskoczona. — Już jutro spakujesz manatki! — krzyknęła rozkarzując. — Ależ, posłuchaj... Ja... — jękałem się — ja z miłości do ciebie nie zdążyłem niczego kupić... — Wcale nie chodzi mi o siebie, ani też o nas, bo już i tak między nami wszystko skończono. — Hela odezwała się do mnie niespotykane u niej powściązłym tonem. — Ale co ja pokażę, czym pochwalię się przed Wisniewską? Ona zawsze tak mi zazdrościła gwiazdkowych prezentów od Ciebie... Wisniewska przecież nie wie, że ty mnie już nie kochasz...! — powziął ton żony znówu przetrwał się w szloch.